Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Cena 30 gr.

GŁOS

DWUTYGODNIK RADYKALNO-NARODOWY

Nr. 3 | Poznań, dnia 1 lutego 1934 | Rok IV

„Polityka narodu katolickiego musi być szczerze katolicką, to znaczy że religja, jej rozwój i siła musi być uważana za cel, że nie można jej uywać za środek do innych celów, nic wspólnego z nią nie mających.“ Roman Dmowski „Kościół, naród i państwo“.

CZYN A HIGJENA MORALNA

Każdy człowiek ma swoją postawę wobec życia. Może on sobie sam nie zdawać sprawy z tego, co stanowi jej cechę istotną i podstawową ;niemniej postawa ta będzie miała zawsze swoją wyraźną fizjognomję, zależną od całego szeregu takich czynników jak religja, wychowanie, warunki materjalne, ustrój społeczny itd. W społeczeństwie oczywiście będzie można wyróżnić pewien typ, względnie typy postaw, na podstawie których można znowu wnioskować, czy dany naród znajduje się na drodze kulturalnego postępu i wszechstronnego rozrostu, czy też odwrotu na wszystkich frontach, starczego uwiądu i rozkładu. To samo oczywiście można powiedzieć o mniejszych grupach społecznych, a więc i obozach politycznych.

Na życie można patrzeć różnie — jak wogóle na wszystko — zależy to w dużej mierze od wyboru punktu obserwacyjnego. Inaczej na te same góry patrzeć będzie taternik, a inaczej malarz. Dla jednego będą wysokie turnie i grożące śmiercią przepaście terenem egzaminu dla woli i wyżycia się najszlachetniejszych pierwiastków ludzkiej zdobywczości, dla drugiego grą światła i barw, zlewających się w jeden zasadniczy półton. Inaczej patrzy na bitwę walczący w pierwszym szeregu żołnierz, a inaczej fanfaron ze sztabu czy przygodny widz z wyniosłości.

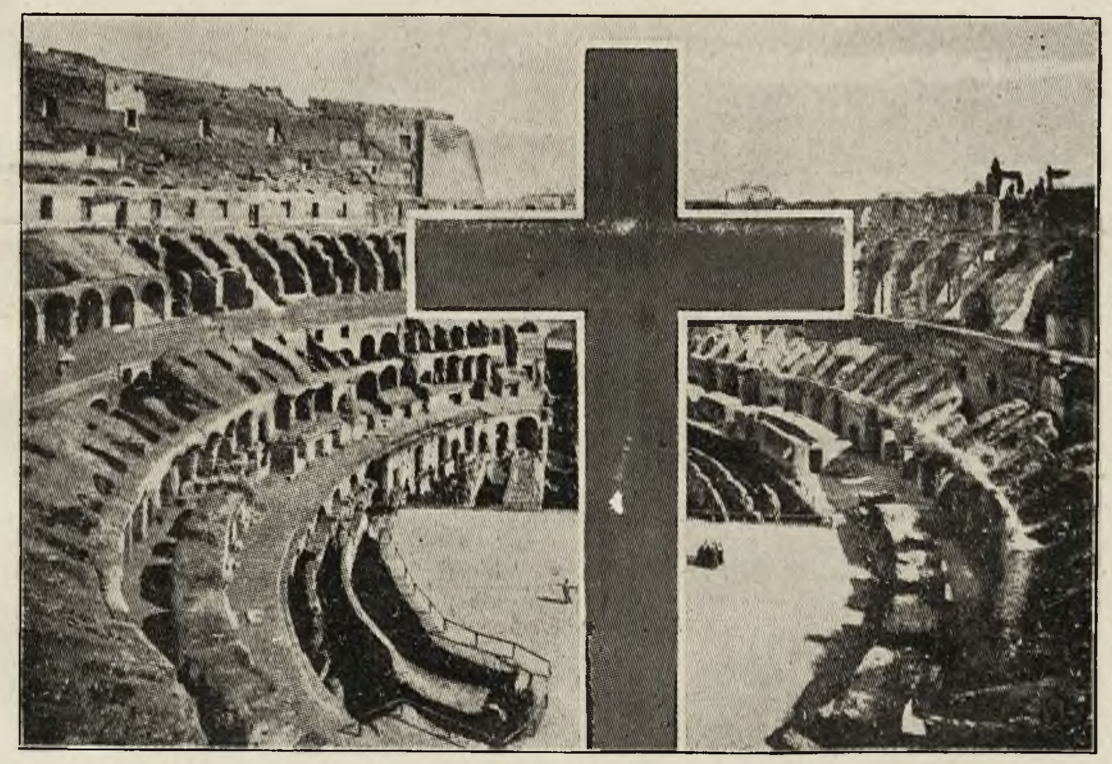
Zmierzamy tu do wyróżnienia dwóch zasadniczych tendencyj w ustosunkowywaniu się wobec życia, dwóch postaw — czynnej i biernej, twórczej i kontemplacyjnej, postawy producenta i konsumenta. Na szczycie można tu postawić jako doskonałe ich upostaciowienie Prometeusza i Budhę, u dołu jako ich zawiązek awanturnika i filistra.

A jaka postawa dziś dominuje i jakiej dziś właściwie przypisuje się większą wartość? Żyjemy mimo wszystko wciąż jeszcze pod znakiem filistra i z tej samej gleby wyrastającego „wieszcza“. „Mistrz“ z przymrużonemi oczami, aby lepiej wypatrzeć to, co dalekie, a oddalić od siebie to, co bliskie, wieści, a tłum uczniów słucha z rozdziawionemi ustami. A kiedy zejdzie z piedestału i wysokich konturn na stopień ten, z którego wyszedł — filistra — i mówią mu: „No, dobrze, co będzie za tysiąc lat, to już mniej więcej, ale co robić dziś, jutro?“ to, niestety, „wieszcz“ zawodzi. Całą sferę czynu pozostawia się biednemu awanturnikowi, no, a ten uwija się jak może.

Czyż niema jednak innej drogi wyjścia? Niewątpliwie — jest. Można wiele przeszłości wziąć w siebie i daleko patrzeć w przyszłość, a zarazem prowadzić mary krok za krokiem poprzez morze skrzeczącej pospolitości ku wskazywanej ziemi obiecanej, zawsze na czele, zawsze z poświęceniem i gotowością poniesienia wszystkich konsekwencyj, wynikających z głoszonych haseł. Tu leży tajemnica powodzenia wszelkich ruchów ideowych i miłości bezgranicznej dla wodza, która zawsze rodziła się — dawniej — wśród szczęku ukrzyżowanych szabel, a dziś — wśród świstu kul. Tylko w takich warunkach istnieje możność prawidłowego moralnego rozwoju walczącej grupy, którą uchronić może od rozkładu tylko trwały wysiłek, atmosfera wiecznej realizacji i farysowego lotu, atmosfera czynu, który jest dla moralności tem, czem świeże powietrze dla organizmu. O tej potrzebie pojawienia się nowych ludzi mówi Roman Dmowski w swym ostatnim artykule w „Myśli Narodowej“.

Zadaniem więc naszem, wchodzącem w zakres podejmowanej przez ruch narodowy przebudowy moralnej, będzie świadoma produkcja ludzi powyżej określonego typu, ludzi zdolnych do wzięcia na swe barki najcięższej odpowiedzialności, produkcja zdolnych kierowników i wodzów. Będzie to najkapitalniejszem zagadnieniem przyszłego narodowego ustroju.

Podejmując jednakże w tym kierunku akcję, trzeba będzie jak zawsze liczyć się z pewnym stanem faktycznym, a więc z jednej strony trzeba będzie uwzględnić te wszystkie czynniki, które kształtują wyobraźnię społeczeństwa, z drugiej zaś strony szukać oparcia w tych grupach społecznych, które mogą najlepszego do zamierzonej akcji dostarczyć materjału.



Tym czynnikiem, symbolem, który nieodłącznie związany jest z naszą kulturą, który ściśle zespolony jest z szerokiemi rzeszami naszego społeczeństwa, a przedewszystkiem z ludem pracującym, jest postać Chrystusa. Świadczy o tem wiele rzeczy. Świadczą o tem przepełnione kościoły, tłumne procesje i zjazdy. Świadczy o tem i to, że nawet ci, których życie nie ma nic z Chrystusem wspólnego, zdobią się jego znakiem. Zastanówmy się jednak, czy symbol ten jest w życiu współczesnym czemś żywem? Gdyby tak było, to widzielibyśmy praktyczne konsekwencje przepełnionych kościołów, tłumnych procesyj i manifestacyj; to nie spotykalibyśmy się na każdym kroku z wyzyskiem, kłamstwem, obłudą, bandytyzmem i tchórzostwem. Nie wiadomo, kto jest za to odpowiedzialny; za tę potworną wprost dwutorowość. Widocznem jest w każdym razie, że w czasach dzisiejszych Chrystusa redukuje się coraz więcej do roli wygodnego środka dla załatwiania celów ubocznych.

My, tworzący obóz narodowy, wiemy bardzo dobrze, czem jest chrystjanizm i jaką jest jego rola w kulturze zachodnio-europejskiej, a przedewszystkiem polskiej. Dlatego pragniemy Chrystusa na nowo ożywić, aby przestał być podstawą zakłamania dla takich czy innych spryciarzy, a przedewszystkiem usypiania narodowej czujności i propagandy bierności.

Ożywić t. zn. zrozumieć. Nie mamy bynajmniej zamiaru „przyczepiać“ się do takich czy innych słów Chrystusowych i, bezmyślnie je powtarzający, umyślnie całą Jego naukę jednostronnie naświetlać. Pragniemy tylko wniknąć w postawę zasadniczą Chrystusa, której nie opuścił ani na chwilę i której potwierdzeniem jest każdy moment Jego życia. I tu Chrystus jawi nam się jako apostół, bezwzględny realizator, bojownik i bohater walczący natychmiast radykalnie i bezwzględnie ze złem we wszystkich jego odmianach; śmierć zaś Jego jest dla nas najwspanialszym aktem protestu przeciwko ohydzie rzeczywistości; aktem, który dzięki swojej wymowie zapadł się w miljony dusz i już go nic zniszczyć nie zdoła. I tu nasz radykalizm zrasta się z chrystjanizmem w nierozerwalną całość.

Wspominaliśmy powyżej, że poza tradycyjnemi symbolami, które należy ożywić i którym należy przywrócić ich właściwą treść, zwracać się trzeba do tych, którzy z natury rzeczy niosą w sobie najwięcej bohaterskości i czystości moralnej, uczciwości, którą zapewnia im stałe stykanie się oko w oko z przeciwnościami, — którzy pozostają stale w obrębie gwarantującego higjenę moralną — czynu. Za takich uważamy ludzi pracy. Do nich się więc zwracamy. Dlaczego? Możemy na to odpowiedzieć słowami Norwida: „Bo inna jest treść myśli, pracy ręcznej drogą otrzymana, inna samem myśleniem... Kończy się więc na tem, że odstrzelona myśl od związku stopniowego z pracami, w chwilach trudnych powraca do onej-to ludowej inteligencji, i rozumu chłopskiego, albo motywów ludowych, albo przysłów, albo legend i pieśni i tradycyj technicznych nawet szuka... Często — już jest zapóźno!... Wtedy kość pacierzowa z mleczem swoim, połączającym całość pracy w narodzie, się rozpada... na wspomnienia przeszłości i utęsknienia do przyszłości!...“ Dlatego będziemy walczyć z całą energją o prawo swobodnego rozwoju tych właśnie szerokich warstw społeczeństwa.

(Dokończenie na str. 4)

W numerze:

Radykalizm a tradycja

Pojawia się coraz więcej pism radykalno-narodowych: jest to zjawisko symptomatyczne i należy mu się przyjrzeć z bliska. Czemu to przypisać? O co tu chodzi?

Szyld radykalizmu przywłaszczony został w ubiegłem stuleciu przez ugrupowania skrajne, dążące do przewrotu politycznego i społecznego. Patronowało im wolnomularstwo i jego „nieznani przełożeni". Wyraz francuski „radical", znaczący dosłownie „*sięgający do korzenia*", czy też „docierający do gruntu", w przenośni zaś „bezwzględny", stał się oznaką ruchu, będącego sojusznikiem rewolucji światowej, ruchu wywrotowego. Z biegiem czasu, dzięki licytacji politycznej ugrupowań partyjnych, szyld „radykalizmu" przywarł do witryn stronnictw, posiadających wprawdzie rewolucyjną przeszłość, lecz odznaczających się dzisiaj właśnie daleko posuniętym oportunizmem i sprzedajnością, jak dzisiejsi radykali francuscy. Tym z radykalnej przeszłości pozostało tylko jedno: patronat lóż wolnomularskich, gangrena „braterskich" związków.

W Polsce etykieta „radykalizmu" używana była rzadziej: stronnictwa wywrotowe, którym przodował socjalizm, wolały posługiwać się polskim przymiotnikiem ruchów „skrajnych", który miał wskazywać masom, że idą dalej, niż wszyscy inni. W niepodległej Polsce poza nieliczną grupą „radykalno-chłopską" Okonia, żadne żadne stronnictwo nie przybrało — o ile pamiętam — przymiotnika „radykalny". Dzięki temu nie jest on w Polsce tak skompromitowany, jak w swojej ojczyźnie, we Francji.

Oczywiście ruch „radykalno-narodowy" nie ma *nic wspólnego* z tem nadużywaniem słowa „radykalizm": sięga raczej do *istotnej, rdzennej treści wyrazu. Zamierza być ruchem narodowym „sięgającym do korzenia" i „docierającym do gruntu", ruchem „bezwzględnie" narodowym.* Jakie cechy, jakie dążenia uprawniają go do sięgania po taką nazwę?

Ruch narodowy przedwojenny, który w Polsce znalazł swój wyraz w szlachetnej pracy wychowawczej ruchu demokratyczno-narodowego, rychło pozbył się cech radykalizmu w każdem tego słowa znaczeniu i stał się ruchem wyłącznie pozytywnym. Za cel postawił sobie szczepienie poczucia narodowego w najszerszych warstwach polskiej ludności, by osiągnąć na tej drodze przy nadarzonej, pomyślnej konjunkturze międzynarodowej odbudowanie państwa polskiego. Zadanie swoje spełnił zaszczytnie i w niepodległej Polsce musiał szukać nowego programu dla swych wysiłków. Znalazł go poniekąd w dążeniu do „utrwalenia niepodległości", w obronie państwa przed wrogami zewnętrznymi i wewnętrznymi. Później w miarę rozwoju wypadków nasunęło mu się zadanie obrony narodu polskiego w jego własnem państwie przed żydostwem i jego pomocnikami.

Dopiero badania i praca myślowa ostatnich lat dostarczyły ideologji narodowej nowych, ożywczych soków. Obudziły świadomość, że praca pozytywna ruchu demokratyczno-narodowego winna być uzupełniona także i działalnością negatywną. Nie dość hodować szlachetne rośliny, trzeba także plenić chwasty. Nie dość kształcić w masach poczucie narodowe, trzeba także zdobyć umiejętność walki z przeciwnikiem, wykarczować opaczne pojęcia, któremi zatruwano nas od wieków, trzeba zdobyć się na ostracyzm w stosunku do zdrajców i na determinację wobec wrogów. *Trzeba dotrzeć do samych korzeni życia publicznego, stać się ruchem narodowym wszechstronnym i bezwzględnym, ruchem „radykalno-narodowym".*

Ruch demokratyczno-narodowy napotykał w swych dziejach stale na ugrupowania, które zwalczały go hasłami społecznemi o charakterze klasowym. Słusznie w interesie narodu przeciwstawił im hasło bezklasowości, niesłusznie jednak uznał, że zwalnia go to od obowiązku posiadania własnego programu gospodarczego i społecznego. Zrzekając się własnego rozwiązania zagadnień gospodarczych i społecznych, pozbawił się dostępu do warstw, które bez takiego programu nie mogły znaleźć dla siebie miejsca w ruchu narodowym. Warstwy robotnicze i proletarjatu wiejskiego zostały oddane na pastwę wywrotowcom, którzy mamili je klasowym programem społecznym, służącym interesom międzynarodówek i żydostwa. Jedyny moment, w którym ruch narodowy posiadł był w części Polski potężną organizację robotniczą, okres czasu między 1905 a 1908 r. w Królestwie Kongresowem, musiał pójść na marne i Narodowy Związek Robotniczy odszczepił się i poszedł na manowce. Odtąd orędownictwo idei narodowej na terenie robotniczym powierzono... ...anemicznej chrześcijańskiej demokracji.

W ostatnich dopiero latach, dzięki zastępom kształcących się młodych narodowców, pochodzących z warstw robotniczych i drobno-chłopskich, ruch narodowy znalazł dostęp naturalny do wszystkich warstw. Dla tych działaczy, którzy sami od lat dziecinnych zaznali niedostatku, a nawet i nędzy, zagadnienia społeczne i gospodarcze nie są teorją, lecz kwestją chleba i życia. Oni to wnoszą, bo wnosić muszą, w szeregi narodowe poczucie, że bez gruntownej zmiany warunków ustroju gospodarczego, w którym zyski z pracy ludności rdzennej przypadają koczownikom i obcym przybłędom, naród polski stanie nad brzegiem przepaści; wyratować go może tylko wykorzenienie zbrodniczych form rabunku, w jakie wyrodził się system t. zw. gospodarki światowej i wcielenie w życie jakiegoś nowego, narodowego, a nawet „radykalno-narodowego" programu gospodarczego. Ta konieczność świta dziś już wielu ludziom w obozie narodowym, szczególnie zaś rozumieją ją młodzi, na których sugestje wolnomularskiej epoki działają słabiej, niż na tych, którzy swą ruchliwość myślenia i energję działania rozproszyli hojnie w okresie przedwojennym i w czasach wojennego zamętu.

Naturalne warunki naszego bytu stworzyły dziś miejsce dla ruchu narodowego o zakresie wszechstronnym, łączącego w sobie pierwiastki pozytywne z jasno zarysowaną negacją dzisiejszej rzeczywistości; dla ruchu narodowego, sięgającego do korzeni tej rzeczywistości, bezwzględnego w dążeniu do celu, istotnie „radykalnego". Nie wolno mu oczywiście zerwać z tradycją ruchu narodowego w przeszłości; tradycja czynów i wysiłków szlachetnych, wielkiego dorobku myślowego minionych pokoleń nie jest nigdy chwastem i nie wolno tykać jej korzeni. Tradycja jest fundamentem, na którym następne pokolenia budują gmachy przyszłości. *„Radykalizm" nowych pokoleń oczyszcza go z chwastów i zgnilizny, dobiera się do żywego kamienia, by na mocnym gruncie utrwalić własne dzieło.*

Każde pokolenie ma w rozwoju narodu swój okres działania i ekspansji; w tym okresie los narodu zależy od niego, w jego ręce składa historja klucze przyszłości. Obowiązkiem jego zaszczytnym jest wtedy wnieść w życie narodu swą twórczą myśl i swój zbawczy czyn. Pod grozą zatraty swego posłannictwa nie wolno mu — jak dążącym na szklaną górę — ani oglądać się wstecz, ku tym, którzy swoje zadanie już spełnili, ani patrzeć naprzód ku tym, którzy kiedyś przyjdą. Wolno patrzeć tylko pod nogi, na szklany grunt, na którym stawia się stopy. Tradycja — to szept zdala dochodzących głosów, z których jedne — jak w bajce — uwodzą do przekroczenia zakazu, drugie krzepią na duchu. Sugestja tradycji może zapładniać twórczo lub wieść na manowce. Odróżnić ziarno od plewy musi umieć każdy ruch polityczny, szczególnie zaś ruch, który pragnie iść naprzód bezwzględnie i zło w narodzie wyrwać z korzeniem, ruch „radykalno-narodowy".

Ruch taki zapewni narodowi lepszą przyszłość tylko wtedy, gdy zdobędzie się na to, *by z rozsądnym krytycyzmem spojrzeć w przeszłość, skupić uwagę na każdym kroku w teraźniejszości, a śmiałą myślą wybiegać w przyszłość. Tak bowiem w życiu narodu wiążą się łańcuchy pokoleń, by mogło się iścić jego posłannictwo dziejowe.*

Tadeusz Gluziński

Z teki karykatur Grusa „Vivat Academia"



Wszystko trza zmienić dziś
— szybko — bezwzględnie — odrazu —
w myśl
. . . . rozkazów!

O istocie i objawach kultury

Gdy*) wypowiadamy potocznie słowo „kultura", stają nam przed oczyma szeregi obrazów, łączących się z tem słowem, — więc bibljoteki, muzea, szkoły. Gdy jednak nad *istotą* kultury zastanowić się mamy, obrazy te nie wystarczą. I jasno powiedzieć sobie musimy, że istota kultury jest czemś niezmiernie tajemniczem, mniej więcej równie tajemniczem, jak wszystko, co nas otacza. A należy to do błogosławionych zdobyczy ostatnich czasów, że mamy na nowo świadomość tej wielkiej tajemniczości wszechrzeczy.

Otóż kultury nie byłoby, gdyby nie ta właściwość życia świadomego, że ono nietylko wciąż naprzód płynie, lecz że pozostawia po sobie zawsze *ślad*. I te ślady sprawiają, że świadomość nie jest wieczną improwizacją, lecz że może płynąć już raz wyżłobionemi przez siebie korytami. Czy zechcemy to nazwać prawem assocjacji, czy naśladownictwa, przyzwyczajeniem czy wpływem środowisk, wszystkie te wyrażenia wskazują na ten sam fakt, że świadomość nadaje sobie pewne prawidła, pewne kształty, pewne sposobności, do których mocą naturalnego popędu powraca.

Ale powstaje tu dalsze pytanie. Jeżeli skłonność do powtarzania raz dokonanych czynności, jeżeli pewna forma przyzwyczajenia jest zawodem i warunkiem kultury, to nie każde przyzwyczajenie jest już jej wyrazem. Mogę mieć zwyczaj zaglądania pod łóżko, nim się nie położę, albo siedzenia w domu w kapeluszu na głowie, albo podśpiewywania w porę i nie w porę — będą to raczej nałogi i dziwactwa, niżeli wyrazy kultury.

Chcąc ten dalszy i rozstrzygający charakter kultury ustalić, skorzystamy z dorobku jednego z wielkich filozofów przeszłości. Kant powiedział, że wprawdzie rzeczy *przyjemne* cieszą, ale tylko *piękne* obdarzają kulturą. I otóż, nie tyle powołując się na ten autorytet, ile raczej wychodząc od tego głębokiego spostrzeżenia, zaryzykujemy tu twierdzenie, że istnieje związek nierozerwalny pomiędzy estetyką a kulturą. Oczywiście więc kultury nie stanowią różne nawyczki i maniactwa, natomiast istota jej polega na *utrwaleniu* w życiu *pierwiastków estetycznych*. Więc ogólna skłonność psychiczna do stałych form znajduje w dziedzinie, którą nazywamy kulturą, szczególne zastosowanie. Mniemać, że związanie kultury z zakresem estetyki jest zbytniem jej zacieśnieniem lub wyodrębnieniem, można tylko, pojmując ze swej strony obręb estetycznych wrażeń zbyt ubogo i wyłącznie. „Estetyczność" kultury waruje zaś jedną bardzo ważną jej cechę, mianowicie to, że zespół prostych faktów przedmiotowych w żadnym zakresie nie stanowi jeszcze kultury.

Więc przedewszystkiem nie przedstawia bezpośredniej gwarancji kultury *objektywna doskonałość* czegokolwiek. Radjo, telefon, dźwigi, łaźnie, wodociągi, koleje podziemne czy samoloty, służą często istnym barbarzyńcom. Aby być wyrazem kultury, rzecz każda owiana być musi atmosferą, działającą pobudliwie i uszlachetniająco na naszą wrażliwość. Odnosi się to tak samo do spraw duchowego porządku. Nie zawsze wystarczy wiele umieć, dużo pamiętać, albo nawet odznaczać się pomysłowością i darem kombinacji, by posiadać kulturę. Można więc być wielkim nawet uczonym, odkrywcą lub wynalazcą w tym lub owym kierunku, a być pozbawionym kultury, albo mieć jej bardzo mało. Bo tu znowu nie wystarcza sam fakt, że wiem, że umiem, że to lub owo osiągnąłem. Chodzi o to, czy się te treści przez pryzmat ducha mego przelewają w taki sposób, by oświecać, by rozgrzewać, by się żywo i mocno udzielać. A to już zależy od pewnych *estetycznych* walorów, na których właśnie kultura polega.

By choć dorywczo myślą ją ogarnąć, musimy rozróżnić dalej dwa najpierwotniejsze, a zarazem najważniejsze jej zakresy, — *podmiotowy i przedmiotowy*. Podmiotowa świadomość jest oczywiście początkiem i tajemniczem źródłem wszelkiej kultury. Bo gdyby nie to, co samorzutnie z niej wytrysnęło i skrystalizowało się w pamięci, w obyczaju, w wyrazie, jako pierwszy zarodek kultury, cały dalszy jej rozwój nie miałby do czego nawiązać i byłby niemożliwy. To też nie ulega wątpliwości, że twórcą kultury jest indywidualny, podmiotowy człowiek, że od jego organizacji, skłonności, zdolności ona cała pochodzi. Ale zarazem jest rzeczą pewną, że kultura, jako kultura, musi przejść przez sferę przedmiotowych krystalizacyj, w nich odbić się i przyjąć ich piętno. Odnosi się to nietylko do przypuszczalnych początków kultury. W pełni jej rozwoju stan rzeczy pozostaje taki sam. Kultury nie byłoby bez jednostek ją wchłaniających, ale zarazem te jednostki, będąc zdolne, wrażliwe, utalentowane, nie posiadałyby jednak kultury, jak istotnie często jej nie mają, gdyby nie można było jej poznać, przedmiotowo oglądać, gdyby ona nie posiadał swych wcieleń, wyrazów, przedmiotowych krystalizacyj.

Ta przedmiotowa strona kultury przeważa nieraz bardzo silnie w potocznem tego słowa rozumieniu. Mówi się wtedy o kulturze prawie wyłącznie jako o *dorobku kultury* i wtedy w jej pojmowaniu przeważa też *uniwersalność*. Bo oczywiście, gdy raz zwrócimy się do wyrazów i wyrobów kultury, zechcemy z natury rzeczy uwzględnić nie część im dowolnie zakreśloną, lecz ich powszechność. I człowiekiem o dużej kulturze nazywamy takiego, który ma znajomość szerokiego zakresu „kultury". Na tem tle powstają takie kwestje, jak sprawa potrzeby języków klasycznych, to samo dążenie skłania nas do studjów w różnych krajach, a choćby do tak prostej rzeczy, jak tworzenie bibliotek. I trudno nam będzie przyznać kulturę komuś, kto choć w minimalnym stopniu nie posiada uniwersalnego wykształcenia, kto zgoła nie wie, co było wczoraj, ani też co się dzieje poza granicami jego parafji. Więc uniwersalistyczne wymagania nie są bez uzasadnienia, — a jednak nie powinny nam zasłaniać faktu, że gdy mowa o kulturze, chodzi jednak jeszcze także o co innego.

Dobrze jest zawsze odświeżać sobie w pamięci etymologiczne znaczenie wyrazów. Kultura oznacza uprawę, pielęgnowanie. Więc niezależnie od wszystkiego innego, istotą kultury jest to, by duch ludzki miał cechę *wypielęgnowanego*, uładzonego i ogładzonego, ujętego w pewien rytm, wyrażającego jakieś wyższe panujące nad nim prawo, posłusznego porządkowi przezeń się wyrażającemu, wszystko to z tem zastrzeżeniem, że ma to sie dziać nietylko istotnie, — ale też w sposób uzewnętrzniony, wymowny, przekonywujący, udzielający się. Czyste walory moralne, jako czyste zdobycze poznania, nie stanowią jeszcze kultury, jak się już powyżej zaznaczyło, — owszem one potrzebują kultury, by się, jak należy, wyrazić,

*) Niniejszy artykuł jest ujęciem odczytu, wypowiedzianego w Akademickiem Zrzeszeniu Miłośników Kultury w Poznaniu w dniu 10 listopada 1933 r.

PRZEŻYCIA Z „KRAJU LAT DZIECINNYCH"

W TWÓRCZEJ WYOBRAŹNI ST. PRZYBYSZEWSKIEGO

I.

Staś Przybyszewski nie był takiem zwyczajnem dzieckiem, jak jego rówieśni bracia. U tych przeważał dziedziczny wpływ ojca, chłopa kujawskiego, mającego jak każdy kujawiak coś z fatalizmu, coś z zawziętości i djabelskiego uporu. Człowiek ten pozatem nie miał w sobie nic nadzwyczajnego. A zato dużo niezwykłego w sobie miała pani Przybyszewska — kobieta nadzwyczaj inteligentna, dusza nawskroś artystyczna i bogata. Była istotą jakby z innego, lepszego świata. Nie harmonizowała zgoła z otoczeniem, które jej nie rozumiało i które jej było nieskończenie obce.

Staś był jej pięknem wydaniem i to wydaniem — powiększonem. Jak ona przeczulony, smutny, okropnie poważny, wprost chorobliwie wrażliwy na muzykę, unikał hałaśliwego towarzystwa rodzeństwa, najchętniej przebywał samotnie, podobny do tych istot, co odosobnione zdają się żyć życiem własnem, odrębnem, głębszem; do istot, które zdają się żyć po to tylko, by nieustannie swój świat wprawiać w zdumienie i zniknąć nagle, pozostawiając po sobie wspomnienie pięknego epizodu. Przedwcześnie dojrzały zdawał się nie reagować na zjawiska zewnętrzne, a w istocie przeżywał je niebywale silnie i głęboko. Staś nie odczuwał różnicy między swoim światem, a światem słyszanym i postrzeganym. Wydawało jemu się, że świat cały w nim się mieści, on go sobą przepajał. Jego organizacja psychiczna była tego rodzaju, że reagowała tylko na pewne zjawiska i zjawiska te przetrawiała. Staś nastawiony był na rzeczy smutne, ponure, bolesne, niesympatyczne.

Bo oto nie lubił uroczystych nabożeństw kościelnych. Lubował się zaś w nabożeństwach wielkopostnych, zadusznych i oktawach Bożego Ciała, gdy spracowane chłopstwo szło z pól do małego kościółka Bogu hołd złożyć i o błogosławieństwo w pracy Go ubłagać. Niesamowity obraz biednych, bezradnych stworzeń, korzących się przed Bogiem, który zdawał się unosić w dymie kadzideł nieuchwytny a tajemniczy, dostarczał Stasiowi ogromnych wzruszeń. Przejmujący dreszcz, który niczem był wobec późniejszych przeżyć literackich, odczuwał, gdy śpiewano „Witaj Królowo", „Dobranoc, głowo święta", lub „Święty Boże, Święty Mocny". Wszystko to wprawiało go w stan jakby somnambuliczny, jakąś hipnotyzującą moc nań wywierało. Przeżycia religijne były dlań przeżyciami najsilniejszemi i najistotniejszemi. Urabiały duszę przyszłego autora „Wigilij", jak urabiała duszę jego przyroda kujawska. Ale i tu ta sama rzecz uderza. Zdawał się nie spostrzegać słonecznej radości wiosny, błogości lata, czaru jesieni i słodkiej melancholji zimowych wieczorów.

Jesienią, gdy szalone wichury na bezkresnej równinie piekielne harce wyprawiały, gdy deszcz bębnił monotonnie o szyby, przez które na Boży świat patrzał Staś długiemi godzinami, przytłaczał go kamienny smutek, trawiła go tęsknota rozpaczliwa za czemś nieokreślonem, ta tęsknota, która miała stać się zasadniczym tonem jego rapsodów poetyckich. Tę tęsknotę wsączały w jego duszę jesienne noce księżycowe, „kiedy nagie rżyska świecą się, gdyby olbrzymia podeszwa, gęstym srebrnym gwoździem nabita, kiedy zalega tak straszna cisza, iż zdaje się, że świat cały przestał kołować w swych błędnych kręgach, kiedy świat cały zdaje się być zatopionym w jakiejś strasznej a rozpacznej zadumie i wszystko wtedy naokół staje się dziwnie strasznem, groźnem i przeraźliwem... Teraz dopiero pojmuje się, co jest wieczność, co nieskończoność i to, co jest najstraszniejsze, — czem jest śmierć". Ta tęsknota i lęk przed czemś nieznanem ogarniała go i zimą, gdy ziemia pokryta białym całunem zamiera w bezruchu, a wieczorami starzy ludzie opowiadają straszliwe historje, których widownią miała być ta ziemia — i latem, gdy znowu atmosfera dojrzewających zbóż wydawała się parna, przygniatała przeczuciem nieszczęścia i śmierci.

Wobec tajemnicy życia i śmierci stawiały go nietylko ceremonje religijne, ziemia rodzinna, ale i wstrząsające zdarzenia, których był świadkiem. Z nich najpotężniejszem była epidemja cholery, jaka grasowała tuż po wojnie francusko-pruskiej. Jestto jedno z najsilniejszych przeżyć. Jakżeby je więc pominąć milczeniem?

Upalne lato. „Całemi nocami włóczyły się procesje chłopów od wsi do wsi, a wystraszonego Stasia budziły ze snu o litość skowyczące „Święty Boże", albo nad otwartemi grobami krwawym szlochem zawodzące „Witaj Królowo! Ad te clamamus, flentes, gementes exules, filii Haerze!" Nie pomogły ni jęki, ni prośby i błagania; codzień przeciągały przez rodzinną wieś chłopskie wozy z trumnami, skleconemi z czterech desek, które „na cholerycznym cmentarzu tuż za wsią wrzucano do wspólnych dołów."

Ten makabryczny obraz postawił go oko w oko z „wielkiem nieznanem", którego potęga w tak brutalny przejawiła się sposób. Wtedy, gdy nie miał jeszcze skończonych sześciu lat, ból istnienia objawił mu się w całej nagości. Zrozumiał, że człowiek jest zmuszony do biernego niesprzeciwiania się złu, do poddania się losowi, nieszczęsnej ślepej doli, co „przykucnęła na drodze, śmieje się dziko i szczerzy zęby; cieszy się, że samotnego człowieka powalił ból".

Całe dzieciństwo Przybyszewskiego karmiło się bólem, tęsknotą, lękiem, tak, że one stały się integralnemi składnikami jego psychiki. Stąd zrodziło się ukochanie cierpienia i zła. (Dla niego jak i dla pobratymca, Jana z Szymborza, cierpienie równa się złu). I gdy będzie miał lat 16-cie napisze wiersz, w którym Boga poprosi, by stokroć większe mu cierpienia zesłał, niż te, któremi Syna swego nawiedził. Przedsmak życia i chory lęk przed niem wyrazi się w częstem pragnieniu śmierci nagłej a niespodzianej.

Remigjusz Ney.

Polska muzyka współczesna

II.

Eugenjusz Morawski, obecny rektor warszawskiego Konserwatorjum, jest ostatnim laureatem państwowej nagrody muzycznej. Jakkolwiek pierwsze lata swej działalności twórczej spędzał w Paryżu, rzadko przypominając polskiemu społeczeństwu o swoich utworach, — zainteresowanie się jednak jego muzyką było w Polsce wielkie dzięki kilku poematom symfonicznym, jak „Don Kichot", „Nevermore" i „Ulalume" oraz różnym drobnym utworom nacechowanym swoistą indywidualnością, prostotą oraz szlachetnością aspiracyj twórczych.

Jednem z najpotężniejszych dzieł polskich muzyczno-scenicznych ostatniego kilkulecia jest balet Morawskiego „Świtezianka". Dzieło to jest największym sukcesem dotychczasowej pracy twórczej kompozytora, — sukcesem, uwieńczonym jaknajpochlebniejszą opinją wszystkich sfer muzycznych. „Świtezianka" daje pełną miarę intencyj i talentu kompozytora.

Charakterystycznym plusem powyższego utworu jest zasadnicza jego koncepcja: uwydatnienie potęgi namiętności człowieka wyzwolonego z przesądów i refleksyj cywilizacji, związanego z pięknem przyrody, owianego atmosferą pierwotności. Atmosfera ta znajduje pełny oddźwięk w muzyce Morawskiego. Poza tem oprawę muzyczną baletu znamionują mocny wyraz, wielka ekspresja, oraz wymowna, bogata instrumentacja. Na wyróżnienie zasługują niektóre fragmenty, jak nawoływania pastusze oraz rytmy pierwotnego tańca, w którym nie trudno się doszukać polskiego mazurka.

Nie mniej obiecującym talentem, mogącym wzbogacić polski dorobek muzyczny, jest talent Michała Kondrackiego, którego najlepszym utworem jest „Partita", nagrodzona na konkursie Stowarzyszenia Młodych Muzyków Polaków w Paryżu. „Partita" — to znaczny i śmiały krok naprzód w twórczości kompozytora od czasu jego pierwszych kompozycyj. — to dzieło o zdecydowanej konstrukcji, bogatej orkiestracji, oraz imponującej technice. Cechuje ją poza tem umiejętne połączenie uczucia z młodzieńczym impetem, ujętym w silne więzy techniczne. „Partita" dzieli się na 4 części, których tematy zasadnicze podobne są do siebie.

Najlepszym fragmentem utworu jest część druga, zakończenie której zdobi dynamiczna coda. Następuje potem „Preludˮ, który wprowadza słuchacza w zupełnie odmienną atmosferę polskich motywów kolendowych, tak pięknie oddanych przez Kondrackiego. Ostatnia część „Partity" oparta jest na polskich kujawiakach. Nosi ona charakter czysto epizodyczny, dosztukowany do całości.

Marjan Łebkowski.

„Na nic się niezda bez wątpienia ostrzegać Królów spiknionych na uciemiężenie ludu; bo tych uwag czytać nie będą, a potym taki to iuż iest duch wszelkich związków niczego niesłuchać, ale wywracać, ni to strumień gwałtowny wszystkie, które w swym pędzie znayduie zawady. Ale piszmy iednak, choć dla małey części ludu, a przyidzie ten czas, że się powszechna uformuie opinia, która światem, upokorzywszy tyranów, panować będzie."

(Uwagi polityczne Pana Rabaut, 1794.)

by promieniować, by się rozlewać. Nie wchodzą tu, rzecz jasna, w rachubę względy utylitarne. Umiejętność przekonywania, pozyskiwania słuchaczy może się odbywać w sposób z kulturą nic nie mający wspólnego, że wspomnimy tylko reklamę w jednym, a demagogję w innym porządku. Tak samo wysoka kultura może iść w parze np. z nieśmiałością, która działanie na zewnątrz uniemożliwia.

Lecz to są wszystko zewnętrzne przypadłości, które nie zmieniają istoty rzeczy. Kultura nie oznacza tylko obecności w duchu ludzkim takich a takich pierwiastków, lecz wywarcie przez te pierwiastki wpływu na całokształt świadomości, przerobienie jej przez jej nabytki lub zdobycze, na pewną niezapoznawalną modłę, nie jest składem lecz stanem umysłu, nie jest zasadniczo treścią lecz charakterem danej treści.

Stąd wynikną pewne wnioski co do wielorakich postaci kultury i pewne zastrzeżenia względem zbytnich uproszczeń w pojmowaniu jej uniwersalistycznem. Bo jeżeli nie chodzi tu o ilościowe normy, lecz o jakościowe cechy, tedy staje się jasnem, że kultura jest wszędzie tam, gdzie te cechy zostały osiągnięte, nie tam, gdzie zadośćuczyniono jakimś ilościowym wymaganiom. To nam wyjaśnia, dlaczego pomimo pokrewieństwa etymologji kultura i wykształcenie nie są jednem i tem samem. W istocie źleby było z kulturą, przypuszczalnie wcaleby jej nie było, gdyby trzeba było czekać na zdobycie znaczniejszego zasobu wiadomości, zanimby ona powstać mogła.

Przeciwnie jest bodaj rzeczą pewną, że rozstrzygające pierwiastki kultury powstają w czasach niezmiernie pierwotnych. To też nie przypadkiem mówimy o różnych kulturach, jak egejskiej, celtyckiej, czy prasłowiańskiej tam, gdzie o wykształceniu we współczesnym sensie mowy być jeszcze nie mogło. Rozumiemy natomiast, że poszczególne płody tych „kultur" wskazują na pewien zestrój, na pewien panujący kierunek usposobień i działalności, które użycie słowa: kultura — usprawiedliwiają.

Lecz jeżeli pomnożenie wiadomości, jak pomnożenie środków technicznych nie oznacza jeszcze kultury, tedy — przechodząc do rzeczy bliższych — jest najzupełniej dopuszczalny wniosek, że współczesny np. człowiek oswojony z temi samemi zawsze wiadomościami a zwłaszcza udogodnieniami życia, niezależnie od półkuli, na której mieszka, posiadać może i posiada nieraz w istocie mniej „kultury", niżeli dawny mniej „oświecony", — natomiast silnie zrośnięty ze swem środowiskiem i pochodzeniem, z przyrodą swego kraju, a przeszłością swego rodu lub szczepu i w każdym calu swej postaci, w każdem słowie, w każdem drgnieniu swej duszy to swoje zrośnięcie, to swoje pochodzenie, tę swoją przynależność wypowiadający.

Taka rodzima, niezmiernie samorodna, choć pierwotna kultura, oczywiście nie wyczerpuje istoty i programu wszelkiej kultury, — ale jest już niezaprzeczenie „kulturą", — co więcej jest prawdopodobnie zarodem i nieodzownym początkiem kultury wogóle. Bo gdyby ta swoista barwa, ten osobliwy styl, czy typ w odczuwaniu, pojmowaniu, zachowaniu się nie istniał, to należy zapytać się, skądby go późniejsze, wyżej wyrobione formy kultury zaczerpnąć mogły. Dla uprzytomnienia sobie ważności tych odległych początków wystarczy wspomnieć o języku. Język znowu nie jest z kulturą identyczny, ale oczywiście jest jednym z naczelnych jej pierwiastków i wyrazów. Jeżeli bowiem język może do czasu być bez kultury, to kultura nie może być bez języka, musi znaleźć język, swój język, — mniejsza nawet o to, czy rodzimy, czy zapożyczony.

I otóż wiemy, że właśnie największa subtelność języka, jego osobliwości, jego odcienie wywodzą się już z tajemniczych jego zaczątków, rodzą się w otchłani wieków z nim razem, a późniejszy, już świadomy rozwój kultury tylko z nich korzysta, — a dalszy bieg rzeczy przy przewadze środków materjalnych i brutalnym nieraz zaledwie obcych wpływów nawet je zaciera i niszczy.

To też zarówno w dziejach kultury, jak w dziejach języka rozróżnićby może trzeba fazę przyrodzonego rozkwitu i fazę świadomego już rozwoju, z tem, że o ile w tej drugiej fazie oddziaływanie świadome przestanie być celowe i skuteczne, język wyrodnieje a kultura upada. Wiele przemawia za tem, że znajdujemy się w takim właśnie momencie historji.

Jak się przed chwilą wspomniało, przez rozrost materjalnych środków, przez gwałtowne i ponad miarę szybkie ścieranie i zlewanie się z sobą różnolitych prądów, tradycyj i „kultur" — rodzime, przyrodzone, dziedziczne pierwiastki kultury, zawarte w mowie, w obyczaju, w stroju, w sprzęcie, a także w ustroju społecznym, w instytucjach i urządzeniach, — zagrożone są prędkim zanikiem — a świadome zabiegi około utrzymania i podniesienia kultury, choć wielkiemi rozporządzające środkami, nie zawsze szczęśliwie kierowane, często zawodzą.

Słusznie więc mówi się współcześnie o przesileniu kultury. Mieć ono może i inne przyczyny, ale jedną z nich jest napewno ta okoliczność, że sprzyja krzewieniu się kultury bogate zróżnicowanie form życia, odrębność typów, różnolitość stylów i barw istnienia, gdy tymczasem w ostatnich pokoleniach ze wzrastającym pędem następowało zlewanie się wszystkiego ze wszystkiem, zanikanie różnic, ścieranie sie odrębności, obojętnienie, szarzenie wszystkiego.

Szczęściem kultura tem znowu się różni od artyzmu, od talentu, od twórczości, że mniejsza w niej jest rola czynników od woli ludzkiej zgoła niezależnych, — nad utrzymaniem i podniesieniem kultury można skutecznie i celowo pracować. Oczywiście potrzebna jest do tego świadomość celu i środków, która nie zawsze dopisuje. Ważniejszym dla utrzymania poziomu kultury jest kult nieśmiertelnych wielkości, niżeli chorobliwy pospiech w wyszukiwaniu i wielbieniu coraz to nowych arcydzieł i geniuszów. W kulturze, jako kulturze, przemaga niewątpliwie pierwiastek zachowawczy. Sprzeniewierza się ona swej istocie, jeżeli wydziera się niecierpliwie do twórczości, do zdobyczy, do nowych dróg, zamiast cierpliwie pielęgnować to, co jest twórczości podścieliskiem, pokarmem i kierującym nieraz pierwiastkiem.

Łatwo się dziś spotkać można z pesymistyczną oceną przyszłości kultury — rzekomo wszystkie jej możliwości wyczerpane są, a prężność cała zużyta. Sądy takie zdają się nie liczyć z istotą kultury, która przez to samo, że była — jest i odrodzić się zawsze może. Nie liczą się z jednym jeszcze czynnikiem, który pozostał przy całej swej mocy, choć wiele warunków sprzyjających kulturze na razie przeminęło, i trudno je przywrócić. Tym czynnikiem wydaje się być duch narodowy, równie tajemniczy w swem pochodzeniu, równie niespożyty w swej sile, jak kultura sama, — zarazem nią się karmiący i sam wiekuiście tryskający na jej odmłodzenie. Dzięki niemu kultura polska mimo licznych ujemnych wpływów już w wielu kierunkach nader szczęśliwie się rozprężyła po stuletniem swem przytłumieniu.

A jeżeli ta struna, której dźwięku brakło w muzyce światów autorowi „Przedświtu", ręką Bożą tknięta, drga dzisiaj na nowo, to zadaniem nas wszystkich jest to, by brzmiała coraz czyściej, coraz szlachetniej, coraz potężniej.

Adam Żółtowski.

Niemcy pod znakiem Hitlera

„Ziemi wystawionej na pierwszy atak germańskiej furji — odwiecznie polskiemu i zawsze niezłomnemu Pomorzu" poświęcił pracę pod powyższym tytułem Antoni Malatyński.

Ogromnie w porę ukazała się na półkach księgarskich praca, mająca za zadanie zapoznanie szerokiego ogółu społeczeństwa polskiego z doniosłemi zmianami, jakie dokonały się w Niemczech w okresie od Traktatu Wersalskiego do połowy roku 1933, kiedy to ukazał się w pełni na widowni dziejowej człowiek, który potrafił z żelazną konsekwencją zrealizować ducha rewizjonistycznego, imitującego Trzecią Rzeszę.

Do napisania niniejszej pracy — jak powiada sam autor — spowodowało go szczególnie to, „że istnieją pewne pisma i pewne wpływowe koła, ba całe nawet wielkie ugrupowania polityczne, które istotnych prądów niemieckich albo nie widzą, albo je lekceważą, oraz równolegle z tem zupełnie nie doceniają wagi i grozy niebezpieczeństwa niemieckiego. A wszak lekceważenie i nieznajomość wroga to zaiste rzecz najbardziej tragiczna w dziejach każdego, a zwłaszcza naszego narodu.

A czy Niemcy są wrogiem Polski? Na pytanie to odpowiada A. Malatyński w sposób następujący:

„ Są prawdy i pewniki przemilczanie których lub pomniejszanie jest dowodem albo karygodnej wprost głupoty, albo zwyczajnej już zdrady narodowej.

Taką prawdą, takim pewnikiem jest dla nas Polaków właśnie niemiecki „Drang nach Osten", niemieckie parcie na wschód. Tam, gdzie dziś stoi Berlin, gdzie stoi Hamburg, gdzie stoi Wrocław i dziesiątki innych wielkich miast niemieckich, tam przed laty rozbrzmiewała słowiańska mowa, rozbrzmiewało „słowo".

I oto niegdyś wśród ludzi „słowa" zjawili się ludzie „niemi". A ze zjawieniem się ludzi „niemych", ze zjawieniem się „niemców", zjawiły się jednocześnie miecz i ogień. I od tej chwili trwa bój śmiertelny między „słowem" a „niemotą", między napadniętym i spokojnym gospodarzem a napadającym i chciwym przybyszem. Wieki już całe, jedno pełne tysiąclecie trwał ten bój i z każdym rokiem ginęli ludzie „słowa" od miecza, a ich zagrody od ognia. Każdy rok przesuwał linję graniczną „słowa" i „niemoty" na wschód. Każdy rok. I oto na ziemiach „słowa" wyrosły i dumnie dziś sterczą: Berlin, Hamburg, Wrocław i dziesiątki innych wielkich miast zamieszkałych przez ludzi „niemych".

Przez ludzi „niemych": na ludzkie słowo, na sprawiedliwość i łagodność oraz na wszystko, co tym uczuciom pokrewne. Ludzie „słowa" zrywali się wielokrotnie do obrony silnej i bohaterskiej. Ale tylko do obrony. A ludzie „niemi" odparci raz, wracali w dogodnej dla siebie chwili i brali straszliwy odwet za poprzednie odparcie najazdu. Było „Psie pole", były Płowce, był Grunwald, ale mimo to czarny całun i czarny orzeł przykrywały ziemię orła białego. I choć jesienią 1918 r. zaświtała ludom Europy, a zwłaszcza ludom „słowa", wiosna wolności, to jednak po stronie niemieckiej zostały nietylko dawno zdobyte ziemie, na których już starto ślad słowiańszczyzny, ale zostały również i ziemie, na których wciąż, jak przed wiekami dźwięczy „słowo", dźwięczy polska mowa.

A teraz oto jesteśmy świadkami, jak hydra niemiecka szalbierstwem ledwie uniknąwszy zupełnego zgniecenia, zapowiada jawnie i w oczach naszych gotuje nowy najazd i nowy zabór ziem polskich. Dlatego to nie wolno nikomu, kto imię Polaka nosi, nikomu, kto „słowem" mówi, zapominać o tej prawdzie, iż głównym, jeśli nie jedynym wrogiem Polski są Niemcy."

W sposób niezwykle barwny maluje autor tło psychiczne i polityczne, na jakiem Hitler, poczynając z nieliczną garstką towarzyszy, zbudował potężną organizację narodowych socjalistów, dzierżącą dziś w swych rękach ster losów państwa niemieckiego.

Geneza narodowego socjalizmu, życiorys Adolfa Hitlera, narodziny ruchu hitlerowskiego, jego losy i pochód zwycięski ku narodowej rewolucji i wypływające stąd konsekwencje dla nas Polaków, stanowią ciekawą treść pracy A. Malatyńskiego.

Z ogromną radością powitać należy fakt, iż młode pokolenie poczyna zwracać baczną uwagę na zagadnienie światowe i pragnie wyciągnąć konsekwencje dla swego narodu.

Dzieło młodego autora spełni jednak wówczas w pełni swoją rolę, gdy znajdzie się w rękach każdego Polaka, który poznawszy rzeczywistość, uświadomi ją sobie i zajmie odpowiednią postawę. Frontem na zachód.

Stanisław Sieciechowicz.

Czyn a hygjena moralna

(Dokończenie z str. 1)

Będziemy podniecać ich duszy wszystkiem przekonywać, że nie mają się za kim oglądać, tylko polegać na sobie, bo dziś prawie że wyłącznie spoczywa los i honor narodu na ich barkach, że więc walka o wielkość i wolność tego narodu jest walką o ich wielkość i wolność; z całą zaś stanowczością zwalczać będziemy tych, którzy świadomie, programowo, czy też nieświadomie przez swój bezgraniczny egoizm i głupotę brukają duszę ludu jadem nienawiści i obciążają wieczyście kompleksem niższości, aby ewentualnie na tym kompleksie budować przyszłą „kulturę".

W powyższych uwagach chcieliśmy pokrótce zwrócić uwagę na tę postawę, którą można określić jako prometejską i znaleźć punkt oparcia dla niej. Jeżeli ten typ pojmowania życia w społeczeństwie przeważa, zapisuje się ono złotemi literami w historji kultury.

To samo oczywiście można powiedzieć o obozach politycznych. Obóz polityczny, który w swoich szeregach wychowywałby typy radców, umiejących dyskutować o wszystkiem i niczem, gotowych do światoburczych planów, a w gruncie rzeczy tęskniących za ciepłem przypiecka, obóz wychowujący co najwyżej dziecinnych awanturników, skazanyby był prędzej czy później, i słusznie, na zagładę i musiałby „położyć" i pogrzebać najzdrowszą nawet ideę.

Miecz.

Frontem do wsi

Wie o tem każdy uczeń, że w Polsce 73 proc. ludności — to ludność wiejska, a odliczając od tej cyfry 1 proc. na właścicieli gospodarstw większych (ponad 50 ha), stwierdzamy, że 72 proc. ludności naszej — to ludność chłopska. Więc prawie 3/4 naszego społeczeństwa stanowią chłopi, a zapytajmy się teraz, czy ta ludność gra jakąkolwiek rolę w naszem życiu państwowem i narodowem i zastanówmy się jaką rolę odgrywać winna.

W życiu państwa wybija się zawsze na pierwszy plan t. zw. inteligencja — elita, ona dyktuje prawa, ona tworzy kulturę, cywilizację, ona reprezentuje kraj pod każdym względem.

Zdrowa elita jest związana z całem społeczeństwem państwowem, myśli jego kategorjami, zespolona jest silnie z masami, które reprezentuje i z których czerpie nowe siły — i taka właśnie jest rzeczywiście elita narodową, która nie boi się byle podmuchu rewolucji, bo wie, że jest tylko częścią narodu, a nie tylko sztucznie nałożoną na niego błonką.

Niestety nasza „warstwa górna" nawet w najmniejszej mierze taką elitą nie jest. Nie zna ona mas, nieraz niemi gardzi, jest często z niemi w walce. Czy kultura nasza jest znana szerokim rzeszom, czy choć jedno z naszych dzieł współczesnej literatury idzie pod strzechy? Czy istnieje jakakolwiek więź duchowa? Ze smutkiem trzeba stwierdzić, że nie.

Nic w tem dziwnego, przecież te szczyty prawie zupełnie nie czerpią soków z dołu. Jeśli u nas na ogólną liczbę studentów szkół wyższych w 1928/29 roku tylko 9,8 proc. było synów chłopskich, a teraz, po nowej ustawie z powodu podniesienia taks i z powodu zubożenia wsi, stan ten jest znacznie gorszy — jeśli 72 proc. narodu nie może dostarczyć nawet 10 proc. ludzi z wyższem wykształceniem, którzy ponadto z powodu braku poparcia i „pleców" zajmują tylko najniższe stanowiska — to nie możemy mówić, że nasza elita jest elitą całego narodu.

Nauczyliśmy się naśladować zachód we wszystkiem, bez względu na to, czy stosowne to dla naszej struktury, czy nie. Zapominamy, że co dobre w Anglji, złem być może w Polsce. Kraje uprzemysłowione zajmują się specjalnie swą warstwą robotniczą, bo ta stanowi największy odsetek ich ludności, stwarza się dla niej ubezpieczenia społeczne, stypendja, — wciąga w górę, i jak nieraz słusznie się zaznacza, tworzy się z niej warstwę napoły uprzywilejowaną.

My, mając zaledwie 5 proc. ludności robotniczej, bierzemy wzory z Zachodu i bezkrytycznie stosujemy je u nas. Przecież 8,1 proc. studentów — to synowie robotników. Więc 72 proc. ludności daje 9,8 proc., a 5 proc — 8,1 proc., nie mówiąc o tem, że urzędnicy, nauczyciele i oficerowie dają aż 38,3 proc. słuchaczy w szkołach wyższych.

Jaka więc jest nasza kultura, jaka więź z masami? Gdzie sprawiedliwość?

To tylko jeden drobny odcinek życia. Zapytajmy się dalej, jak wygląda opieka nad chłopem. Dla niego nie istnieją „kasy chorych", ubezpieczenia od bezrobocia itd., dla niego niema wykładów, czytelni, świetlic! Ni państwo, ni warstwa bogata nim się nie zajmuje. Jak gdyby go nie było. „Chłop" mówi się z pogardą nieomal, ale ten „chłop potęgą jest i basta..."

W nim drzemią siły niezbadane jeszcze. W jego duszy najdroższe myśli, jego moralność — najprostsza i najcenniejsza. Tu nie widać tych wszystkich miazmatów, które unoszą się nad naszą kulturą burżuazyjno-żydowską.

Nie zrzucajmy jednak winy na innych, samiśmy temu winni. Nasi ojcowie z książką i wykładem szli pod strzechę, w czasie wolnym przebywali wśród ludu — dziś ta praca znów leży odłogiem. Jeśli niema pieniędzy na wykładowców i szkoły dokształcające, to niech idea pełnie wśród lud masy tych, którzy mogą i czas mają to czynić. Na wakacje tysiące studentów rozjeżdża się, by nudzić się lub bawić; niech sobie każdy z nas zamiast nart, saneczek i kajaków, obierze jedną wieś i tu pracuje. Niech pomaga chłopom w polu, a gdy wieczorem, czy w niedzielę wszyscy wypoczywają, niech uczy. Niech nie mówi zaraz o polityce, ale o tem, co to jest Polska, jaka jej historja i zadania, o wszystkiem tem, o czem wie, — niech niesie wiedzę i budzi myśl. A przy tem niech też słucha starych gospodarzy, niech i od nich się uczy, bo tam może nieraz głębsze myśli tkwią, niż w najmędrzejszych książkach.

Tak pracując i kładąc cegiełkę po cegiełce pod żywy gmach narodu, będziemy sobie mogli powiedzieć, że dobrze przysłużyliśmy się wielkiej Polsce — ojczyźnie i matce wszystkich swych obywateli.

T. Wit.

Zwycięstwo żywiołów narodowych

w wyborach do Rady Adwokackiej w Poznaniu.

Odbyte w dn. 28 stycznia b. r. wybory do Rady Adwokackiej i sądu dyscyplinarnego Izby Adwokackiej w Poznaniu przyniosły zdecydowane zwycięstwo żywiołom narodowym.

Do obydwóch wspomnianych organów weszli adwokaci, zaproponowani przez Narodowe Zrzeszenie Adwokatów. Lista tego związku zyskała około 65 proc. zgromadzonych. Tak więc „sanacyjny" Związek Adwokatów Polskich poniósł klęskę na całej linji.

Do Rady Adwokackiej na 15 członków, weszło 12 narodowców. Listę otwiera mec. Władzło. Kandydaturę czołowego reprezentanta Narodowego Zrzeszenia Adwokatów dr. Stanisława Celichowskiego musiano w ostatniej chwili wycofać, wobec mianowania go członkiem Naczelnej Rady Adwokackiej. Zawiadomienie telegraficzne o nominacji nadeszło z Warszawy na pięć minut przed wyborami. Listę członków sądu dyscyplinarnego otwiera dr. Witold Celichowski.

Na froncie walki.

KOMPROMITUJĄCY „GENJUSZ" ŻYDOWSKO-MASOŃSKI.

Do setek i tysięcy „genjuszów", jakich wydał naród wybrany i jakich wywindowała masonerja na wyżyny, należy zaliczyć sprytnego oszusta - Żyda Stawiskiego, który ostatnio we Francji dokonał olbrzymiej panamy z bonami Credit Municipal de Bayonne.

Nadużycia rzeczywiście sięgają bajońskich sum, bo 600 miljonów franków. W aferze zamieszanych jest szereg „wybitnych" dziennikarzy lewicowych, deputowanych, a nawet członków rządu. Stawiski popełnił samobójstwo, które jest kwestjonowane. Oszust ten był członkiem masońskiej loży Wielkiego Wschodu i w związku z tem od kilku lat grasował bezkarnie po całej Francji, bo nikt nie odważył się podnieść głosu.

Skandal, któremu prasa francuska od 2 tygodni poświęca bardzo wiele miejsca, świadczy o silnej dekadencji masonerji w samem jej centrum światowem.

Afera wywołała olbrzymie wzburzenie w całym kraju, gdzie odbywają się nieustanne demonstracje antyrządowe, organizowane przez Action Française. Na ulicach Paryża pojawiły się barykady... Narodowa Francja budzi się, by bronić honoru narodu i podjąć zdecydowaną walkę z omnipotencją masońsko-żydowską. Front narodowy rozszerza się i potężnieje wszędzie, a życie przyśpiesza bieg wypadków i chwile rozstrzygającej walki.

CO 700-NY MIESZKANIEC — TO WIĘZIEŃ!

W dyskusji nad budżetem ministerstwa sprawiedliwości wyszedł na jaw potworny wprost objaw naszego życia społecznego i politycznego. Okazało się, że w Polsce w więzieniach w chwili obecnej zamkniętych jest blisko 46 tysięcy ludzi. Znaczy nie mniej ni więcej, że co 700 obywatel to więzień! Jakie są przyczyny tego stanu rzeczy?

Nie mając bliższych danych statystycznych trudno jest przeprowadzić ścisłą jego analizę. Niemniej stwierdzić należy, że obecna sytuacja gospodarcza, szczególnie ciężka, stanowi poważny czynnik kryminalogiczny, powodujący silny wzrost przestępstw. Następnym niewątpliwie ważnym czynnikiem wzrostu cyfr „przestępstw" jest obecna ogólna sytuacja...

PÓŁ MILJONA MŁODYCH ANALFABETÓW.

Rzecz jasna, że tak wielka ilość więźniów silnie obciąża budżet państwa, lecz na ten cel pieniądze są i być „muszą". Niema natomiast pieniędzy na tak ważną dziedzinę, jak powszechne nauczanie, z którego dziś w Polsce nie może korzystać blisko pół miljona dzieci!

Tę smutną i nagą prawdę poruszył Klub Narodowy w Sejmie w dyskusji nad budżetem ministerstwa oświaty. W takiej to sytuacji minister oświaty i premjer w jednej osobie wygłasza optymistyczną mowę...

Jan Rus.

Z za kulis

Poznański światek teatralny jeszcze dotąd mówi o dwóch lokalnych sensacjach. Właściwie to o jednej jeszcze, o drugiej dopiero: Canossa b. dyr. Trzcińskiego i Teatr Polski pod obecną dyrekcją.

Pamiętny raptus puellae dyrektorów dwu poznańskich teatrów, bo sprawa poszła o „Fräulein Doktor" Tepy, zawleczony przed kratki sądowe, znalazł niespodziewanie rozwiązanie, że tak powiem, „życiowe". Bo występy Trzcińskich u dyr. Rudkowskiego.

Drugą sensacją — sensacją, „która idzie", to, jak się rzekło, Teatr Polski pod obecną dyrekcją p. R. Boelkego.

Ten świetny artysta i przedziwny poeta teatru, wierzący w jego misję, okazał się również doskonałym dyrektorem. Zadanie miał niewdzięczne. Po latach straszliwej degryngolady Polskiego Teatru utrzymać tę placówkę, którą „Naród sobie" zbudował. Zbudować, zbudował, ale jednak wolał naród sobie chodzić do kina za 75 gr. niż pozwalać się ordynarnie nabijać w butelkę za 5 zł i wyć przez trzy godziny. Pastwiła się nad nim szmira, pastwił reżyser, pastwił źle użyty aktor. Jedynym człowiekiem, który w tych niedawnych czasach coś robił w Polskim — był sufler (czy też suflerka). Kiedy na najdalszych krańcach Poznania zaczynały się chwiać domy, łamać stuletnie dęby — wtajemniczeni szeptali, polecając Bogu swój słuch: to sufler w Polskim zaczął podpowiadać.



Dyr. Teatru Polskiego i znakomity artysta p. Robert Boelke

„Zaś ale takie coś", mruczała zgorszona solidność poznańska, „żeby też dawać takie rzeczy?!" A potem szły tasiemcowe wywiady do prasy o morderczej pracy dyrekcji, która sercem się dzieli i dusze sobie od ust odejmuje. Lecz wszystko na nic! Bo publiczność odwróciła się od teatru i nie spełnia swych zobowiązań wobec niego.



A to śliczne maleństwo, to Maryśka, córeczka p. Boelkego

Że nie spełniła, to prawda, bo nie przepędziła rozmaitych hochsztaplerów teatralnych. A innym nie wytłomaczyła grzecznie, lecz stanowczo, że kochać teatr, a kierować nim i utrzymać go na jakim takim poziomie — ce sont deux!

Zamiast tego, Poznaniak, który nadewszystko szanuje i lubi spokój, bez wrzasków i awantur, przestał poprostu bywać w Polskim. Obraził się. Przyszedł nowy zespół i dyr. Boelke. Zastali same koszmary. Powitał ich korowód mar-potworów, z których żadne nie miały swych „członków" na właściwem miejscu. — To nieszczęsne „sztuki", próby świadomego ojcostwa różnych quasi reżyserów, którzy się ekshibicjonizowali na oczach zgorszonej publiczności. Zastali zupełny brak zaufania do Polskiego. W takiej atmosferze rozpoczynała się praca. Zdawało się, ludziom, kręcącym się koło teatru, że Polski już umarł i pogrzebion, że, mówiąc „lokalnie", „nie da rady".

To też niezbyt ufnie ustosunkowała się publiczność do enuncjacyj prasowych. Ciekawość nowości jednak sprawiła, że ludziska przyszli raz, przyszli drugi. I zdziwili się. Zdziwili solidnością towaru, którą mu pokazano. Zobaczyli znów sztuki reżysersko doskonale postawione, zobaczyli staranną inscenizację. Od suflowania do dekoracji zmieniło się wszystko. Sumienna, pełna poświęcenia, ofiarna, naprawdę ofiarna (pardon! — za tak anachronistyczne określenie) praca dyrektorów Boelkego i Piotrowskiego, doskonale została zrozumiana przez pracowity zespół.

Chodzi „tylko" o to, aby publiczność uczyniła, co do niej należy w takim wypadku.

Prowadzenie bowiem tak licznego zespołu (37 osób) przy równoczesnem nierezygnowaniu z ambicyj do których Polski z racji swego charakteru reprezentacyjnego jest zobowiązany, wymaga nadzwyczajnych wysiłków.

Polski jest właściwie teatrem bez subwencyj. Bo tych 40 000 zł, które daje miasto, nie można uważać za subwencję w powszechnem tego słowa zrozumieniu. Jest to poprostu rodzaj pożyczki na pierwszego, którą w ostatnim dniu miesiąca teatr zwraca w postaci opłat za gmach, światło, opał, wodę i... straż pożarną. Każdy spektakl, aby jako tako związać koniec z końcem, musi „przynieść" 700 zł. Jest to suma „plus minusowa". Jesteśmy zdania, że Poznań, który ma ambicję miasta teatralnego, powinien ją chociaż w tem objawić, aby Teatr Polski miał salę, światło itp. gratisowo.

Z tem łączy się inna sprawa. Otóż tylko ten, kto „daje", ma prawo mieć pretensje. Domagając się gwałtownie „poziomu" od swych teatrów, musimy dać dowód, że to jest sprawa naprawdę nas obchodząca. Że to nie jest bzdurny frazes, którym się usprawiedliwia swoją absencję w teatrze.

O ile lepiej wiedzie się teatrowi Narodowemu w Toruniu. Począwszy od gmachu a skończywszy na strażaku — wszystko ma od miasta bezpłatnie. Ponadto z różnych źródeł 4500 miesięcznie subwencji.



Czołowa artystka Polskiego, pełna subtelnego charme'u p.Tola Koronkiewiczówna jako Fanny z p. Płucińskim (Marjusz)



Świetna para z „Pana Geldhaba:" pp. Noskowski i Szubert (doskonały nabytek Polskiego).

4500 zł. to znaczy 15 gaż po 300 zł (zespół aktorski liczy 17 osób)! Można sobie pozwolić nawet na luksus grania do pustych krzeseł.

Ambicje kulturalne naszego miasta są dość szczególnej kategorji. Np. obojętna kulturze, a raczej jej pozująca, anachronistyczna bujda, jaką jest opera, była zawsze w szczęśliwszem położeniu, niż teatr dramatyczny. Znalazła się dotacja na orkiestrę, był wolny gmach, światło, opał..

W tej chwili nie orjentuję się jak jest obecnie. Wprawdzie teraźniejsze, inteligentne kierownictwo naszej „Wampuki" — dyr. Latoszewski, prof. Roy, którego ciekawą prapremjerę dla wkrótce Polski, ma ambicje artystyczne (np. sympatycznie zarchizowana reżyserja Cosi fan Mozarta) ale... naogół wziąwszy kieruje się przypadkowością, w realizacji scenicznej nie wychodząc poza uświęcony tradycją banał.

jot-te

Z WYSTAW

Wystawa gwiazdkowa w Tow. Przyjaciół Sztuk Pięknych.

Trudno z pospiesznie i przygodnie z okazji świąt Bożego Narodzenia wystawionych prac malarzy poznańskich na wystawie gwiazdkowej w T. P. S. P. wysnuć jakieś poważniejsze wnioski i urobić sobie zdanie o ruchu artystycznym, co zwykle normalnie nam się nasuwa po obejrzeniu dorobku artystycznego kilkunastu malarzy i rzeźbiarzy, którzy bądźcobądź stanowią o wysokości poziomu kulturalnego wśród świata artystów.

Z tego co jest widzimy, że wystawiono to, co każdy z artystów miał pod ręką, a doprawdy z tego trudno coś sprawiedliwego rzec o ogólnym rozwoju i poziomie. Ale spróbujmy.

Widać odrazu, że talent i zrozumienie i wyczucie zagadnień malarskich, bez nudnych i czczych dodatków formalno-treściowych, nie wszędzie zostały pogrzebane na dnie pustego konwencjonalizmu. Nie wszędzie, albowiem pozatem odrazu rzuca się w oczy brak rzetelnego wysiłku i pracy, niedbałe traktowanie podstawowych postulatów malarstwa i schlebianie różnorakim gustom różnorakiej publiczności i pseudo-znawców. Uderza bardzo uboga inwencja malarska i brak silnego wyodrębniającego się indywidualizmu. Wszystko sprowadza się do jednego kierunku i miary, niezbyt wysokiej, wpada w jeden szablon i banalność. Świadczyłoby to o zaniku jakichkolwiek talentów, ale na szczęście tak źle nie jest. Talenty są, ale żyją, co się często i zwykle dzieje, w ciągłym rozbracie z rzetelną pracą i wysiłkiem twórczym. A to nie zawsze wychodzi im na dobre.

Z pośród wystawiających ze zbiorową wystawą swoich prac wystąpili Mroziński i Wolniewicz. Mroziński przedewszystkiem eksperymentuje kolorystycznie. Nie zawsze mu się to udaje z dobrym skutkiem i często efekty wypadają całkiem banalnie i pospolicie. Dobrze uchwycone i zrozumiane są pejzaże akwarelowe, choć dość szkicowo traktowane i naśladujące w swej fakturze technikę olejną. Wolniewicz wystawia cykl swoich „Legend poznańskich". O wybitnie ilustratorskim charakterze, przeważnie dwubarwne, zdradzają wprawdzie dość wyrobioną formę, ale zato zupełne pominięcie i usuwanie zagadnień czysto malarskich, na rzecz wybijającej się na pierwszy plan treści literackiej obrazu.

Hannytkiewicz daje „Uliczkę" dobrze uchwyconą w charakterze i z dobrze zestrojonemi barwami. Słabsze „Martwe natury" rozerwane w formie i kolorze. Augustynowicza akwarele poprawne, jedyną może ich zaletą jest jeszcze technika. Portrety olejne według jednego szablonu, bardzo kulturalne, gładkie. Osobom portretowanym brak odrębnych cech indywidualnych. Z trzech pejzaży Bartla malowanych delikatną techniką bardzo dobre „Morze", łagodne w kolorze z dobrze rozmieszczonym stafażem. Pozostałe mniej szczęśliwe, banalne w kolorycie. Walkowski siedzi nadal w monachijskim impresjoniźmie, co mu wcale nie przeszkadza w dobrem komponowaniu obrazu o solidnej formie i przemyślanych efektach barwnych.

Niezłe pejzaże Oźmina, Jackowskiego i Bocheńskiego są dobrze wyczute i malowane ze zrozumieniem, ale brak im rzetelnego opracowania i wgłębienia w istotę dobrego pejzażu i obrazu wogóle. Również w krajobrazie Oźminowej widać dobre malarskie ujęcie tematu, choć jeszcze mniej jest opracowany. Lam zna się na zaletach dobrego pejzażu i umie je wydobyć. Umiejętnie rozkłada i planuje przejścia i plamy barwne.

Dwa pejzaże Pajzderskiej „Z nad morza", dobre, utrzymane w tonie, z umiejętnie rozmieszczonemi łodziami jako stafażem, tworzącemi plamy ciemne lub rozświetlające. Słabsze „Martwa natura" i „Kwiaty" zbyt może za silnie i jaskrawo traktowane.

Maszkowskiego „Kwiaty" ujęte dekoracyjnie, w kolorze mocno soczystym, pozatem nie grzeszą żadnemi innemi zaletami. Studja Chełmońskiego dość słabe, bez akcentowania jakichkolwiek punktów głównych obrazu, choćby formy. Batycki używa sobie w lila kolorze, ale pozatem ma wcale niezłą formę.

Roguskiego „Teka legjonowa" niemożliwa, dziecinnie i banalnie traktowana bez krzty talentu rysunkowego. Szwankuje w niej wszystko: i kompozycja i postacie sztywno rysowane i naiwne traktowanie tematu. Lepsza zato, bardzo wdzięczna „Madonna". Wnętrza Wodzińskiego zdradzają zupełny brak talentu, któryby poprostu z talentem pozwalał na niebanalne i niepozbawione wszelkiej konstrukcji i statystyki przedstawianie na płótnie malowniczych wnętrz. Obrazy Bielawskiego są niesłychanie banalne, kiepsko malowane i „wulgarne" w czerwonym kolorycie, którym cały obraz poprostu ocieka.

Pogowski namalował z dużym nakładem farby wielką „Martwą naturę". Eichler zaś dwa małe pejzaże, dość zgrabnie uchwycił i oddał urok samotnego drzewa. Kabacińskiego „Zaułek bernardyński w Wilnie" przemawia sam za siebie swą malowniczością, ale rysowany dość słabo, nie trzyma się w całości. Lepsze „Róże". Pozatem Graczyński wystawia niezmiernie banalne pejzaże.

Z grafików dobre litografje daje Gosieniecki. Akfaforty Tatuli i Mondrala są dość słabe.

Z rzeźbiarzy, bardzo dobrą plakietę, wykonaną ze smakiem i kulturą daje Kaim. Plakiety Wysockiego również dobre, zwłaszcza „Plakieta nr. 1" z dekoracyjnie pomyślanym napisem dokoła.

p. m.

Znamię kultury ginącej

Jest u nas jeszcze kultura wżerająca się w krew narodu, kultura obca, fantomem niewygasłej reakcji poromantycznej wabiąca siły dopiero co powstałe do pałaców wyspy Circe. Jest także u innych odwieczny zwyczaj układania stosów na księgi, niszczące porządek praw i ducha. Za naszych dni urodziły się skutkiem przerosłej wolności książki, niszczące podstawy kultury łacińskiej. Ogromny stos, ułożony w noc zwycięstwa narodu polskiego, będzie rachunkiem za długie lata destrukcji.

Podarta chorągiew estetyzmu pokryła dziś wiele serc odbiorców literatury w Polsce. Fałszywy wiatr „postępu" łopota strzępami. Od niego wieje zły czar na całą naszą kulturę. Są jednak ludzie, którzy czuwają. Są, którzy wiedzą, dlaczego Sienkiewicza i Słowackiego wypędza się z serc polskiej młodzieży. Oto w jednej ojczyźnie za ciasno tym dwom i pęczniejącym tomom Boya, Słonimskiego, Krzywickiej. Jeżeli się dziś uzna postulaty tych ostatnich...

Duży huczek powstał dokoła książki Ireny Krzywickiej, wydanej przez „Rój" p. t. „Sekret kobiety". Warto poświęcić jej uwagę, jako doskonałemu wyrazowi tej kultury, jaka chce nam przodować, jako świadectwu, jak niepomiernie daleko zaszła dziś zaraza kultury — rzecz prosta — żydowskiej! Tak jest, żydowskiej lub zżydziałej! z całym jej tupetem i nerwowością destrukcji! Sprzymierzeńcem jej jest Boy-Żeleński i jego adherenci. Jemu to „mędrcowi", jego genjalności poświęca Krzywicka słodkie uwagi. Boy, który, walcząc o objektywizm i granice estetyczne, wpada w skrajną ciasnotę. Ten sam, który usprawiedliwia pornografję swoich „Słówek" (bo chyba są pornografją takie wierszyki, jak Abecadło, Tetralogja pensjonarki, Student i studentka etc., nie mówiąc już o cyniźmie „mędrca"), w imię wolności na całe gardło krzyczy przeciwko szczeremu i osobistemu stanowisku innych. Otóż z ducha Boya, o którym zresztą Jan Rembieliński mówi, że się także przyczynia do zwycięstwa idei narodowej, starając się, aby nadchodząca ewolucja dokonała się w sposób możliwie łatwy w światku polsko-żydowskim, („Myśl Nar. nr. 62 ex 1933) — z ducha tej wyroczni pochodzi „Sekret kobiety".

Jest to książka, dla której niema granic bezwstydu, niema kwestji, którejby z zimnym cynizmem nie prostytuowała autorka. „Dość się — pisze ona — już kobiety kryły w fatalaszki fałszywej wstydliwości, trzeba wreszcie mówić tak, jak jest". Albo:

> „Mówić, mówić, trzeba mówić o tej dziedzinie (spraw seksualnych), przemilczanej przez stulecia, trzeba wietrzyć wszystkie zakamarki, utrzymywane w moralnej stęchliźnie, nie bać się bezwstydu, drwić sobie ze zgorszenia, odrzucić wreszcie stos śmiecia i przesądów, jakiemi przywalono tę najpiękniejszą dziedzinę ludzkiego życia."

Tak, założenie książki rzekomo humanitarne sprowadza się do pojęcia żydowskiego zachwytu seksualnego. Pasja, z jaką Krzywicka opisuje sprawy płci, dowodzi tylko jednego: chęci publicznego usankcjonowania tych spraw. Oto chodzi wręcz o takie sprawy:

> „Jedna z najbardziej budujących tez Rusella jest ta: kiedy kobietę najdzie namiętność do innego człowieka, nie powinna żądać rozwodu, nie powinien i mężczyzna"; „małżeństwo to tylko (!) ochrona przed samotnością... przed ślubem próbnie powinni się kilkakrotnie młodzi ludzie połączyć"; „nie należy wtrącać się za bardzo słabym naszym rozumem do magnetycznych spraw przyciągania płciowego i — „uszanować to trzeba, choćby to był stosunek anioła ze stróżem."

I koroną wszelkich życzeń p. Krzywickiej jest wolna miłość. Z każdej kartki książki przebija znany żydowski „odor sexualis", a dla pozorów tylko są takie ustępy, jak „Wielka pielęgniarka" i mniejsza ilość podobnych skromności. „Bezwstyd i szczerość nadają pamiętnikom Zofji Tolstojowej rytm i ciepło życia." Dla niej jednak i dla kobiet ubiegłego wieku, które „gięły się pod brzemieniem bezustannych porodów i dzieci" ma Krzywicka niemal pogardę. Jest to — pisze — „smutne istnienie kobiety zprzed wielkiego przełomu, jakiem się stało świadome ograniczanie liczby dzieci" — mowa tu o arystokratkach, co jest dowodem, że ograniczenie urodzeń nie na humanitarności polega, ale na przyjemnościach burżuazji, a dla uznania wygrywa się i dla proletarjatu najróżniejsze kłamstwa.

Pomijając już najoczywistsze względy religijne i narodowe, każdy łatwo spostrzeże, że wolna miłość byłaby albo triumfem najskrajniejszej brutalności, albo sankcją wykolejonej zachcianki. Wolna miłość burzy miłość istotną, ustrój społeczny i wszelką etykę.



Józef Pankiewicz „Dama czytająca"

Krzywicka, choć cynicznie, odkrywa „nicość" i „zwierzęcość" duszy kobiety, jej poziomu (skąd jej nieufność do wynurzeń i artyzmu swej płci), szuka rozpaczliwie dróg do sławy, chwyta się pewnej oryginalności i z żydowską przesadą alarmuje (aż posłanki sejmowe) i udaje dobrodziejkę kobiet i więźniów (risum teneatis!), przyczem na równi stawia bandytów i więźniów politycznych.

„Sekret kobiety" „dowodzi", że „niema" dziś porządnych kobiet. Kobiety „wyzwoliły z mężczyzny niebacznie barbarzyńcę" — ależ książka Krzywickiej będzie właśnie wytłomaczeniem bezwstydu tych „zwierzątek" naturą, prądem, kulturą etc. Co dalej? Dziś kobieta pono „ograniczyła do minimum termin ostateczny oddania się, zrezygnowała ze stopniowania pieszczot.... wyrzekła się fałszywej może, ale jakże słodkiej adoracji..." — więc to tak, więc nie chodzi o prawdziwy kult kobiety, tylko o pozory, o to, żeby „poziom wzajemnego zdobywania się i uwodzenia sięgał wyżej metra ponad podłogę, czyli wyżej pasa", bo „my kobiety" „nie możemy się wyrzekać skomplikowanej polityki miłosnej". Bo podobno

> „kobiety ulegają łatwo, zmieniają kochanków, jakże często ze śmiercią w sersu(?!), aby nie wyjść z obiegu, aby się utrzymać na powierzchni dla interesu, przez snobizm, dla pochwalenia się przed koleżankami. Asystują, chłodne i złodowaciałe, pospiesznym i niedbałym pieszczotom mężczyzny. Symulują (czy panowie wiedzą, jak często symulują?) temperament i frenetyczne wstrząsy rozkoszy..."

Prawda, prawda!

Tak wygląda kultura zżydziała, boyowska, świadomego macierzyństwa, kosmopolityczno-pacyfistyczno-literacka dzisiejszej generacji z salonów Krzywickiej i tak może wyglądać cała polska kultura, jeśli nie przemówi przyrodzone zdrowie narodu. My wiemy dobrze, że to co u obcych jest na marginesie przepychu kultury — chcą u nas międzynarodowi pośrednicy, jako rdzeń życia zaszczepić. Pani Krzywicka w pierwszym rozdz. swego dzieła twierdzi, że jedyną wartością miłości jest poezja osłonek, które każe niszczyć w „Szkole moralności rozumowej". Tak to nie zostaje dla ludzkości żaden nimb człowieczeństwa.

Ale my wiemy, że od stworzenia świata dla ludzkiej miłości został zbudowany teatr i nikt nam nie zburzy dekoracji piękna! „Odziejcie się wzniosłością, tym płaszczem brzydoty!!", to zdanie Nietschego jest z ducha zdrowia i siły.

Charakterystyczny jest stosunek do Boga, religji i narodu pań i panów świadomych: „ckliwa adoracja dla rodziców, jednostajna patrjotyczna egzaltacja, histeryczny stosunek do miłości — wszystko to jest nieprawda!"

Na koniec stosunek p. Krzywickiej do literatury polskiej. „Nie bierzcie tak dalece za czystą monetę literatury przez mężczyzn pisanej, ich sposobu pojmowania kobiety. Pisarz wyżywa się w powieści, jego stosunek do bohaterki jest w znacznej mierze seksualny..." Żmichowska była zboczona, w powieściach Prusa — „poczciwego staruszka" — są wartości, które odkryła potomności Krzywicka, a o których mu się samemu biedaczkowi nie śniło; Wokulski cierpi na chorobliwą, starczą namiętność, która go wiedzie do częstego upodlania, do odgrywania błazeńskiej roli.

Takie ośrodki gangreny, jak książka Krzywickiej, wyciąć trzeba ze zdrowego i czystego organizmu polskiej kultury!

Jan Bielatowicz.

Kraków.

Jan Bielatowicz.

POWSTANIEMY!

Kryształą się na skrzydłach anielskich świty wschodu,
Płacze serce w jaskini niewoli —
Nie czuje jaśni ogromnej głodu:
Cheronejską się dumą mozoli.

Uleciał anioł nad Tatry —
Ty wierzysz w legendy, narodzie.
A pamiętasz ponocne watry
Sułkowskiego obozu,
Krzyżową krew w Lwim grodzie?

Masz rany od powrozu,
Chrystusie narodów!

Powstań, Polsko! Niech w noc Twą doczesną
Obozu gwar, mieczowych godów,
Niech sławy męki westchną!

Niech sieją narodowy dzień!
— Módlmy się litanją serdecznych drgnień!

Powrót do staropolszczyzny.

Znakomity publicysta Jan Rembieliński wygłosił w ub. m. w Poznaniu wielkiej wartości wykład n. t. „Powrót do staropolszczyzny". Jan Rembieliński przybył na zaproszenie Akademickiego Zrzeszenia Miłośników Kultury, które prowadzi ożywioną działalność pod doświadczonem kierownictwem prezesa Stanisława Czapiewskiego.

Jeremjady feministek

Alarm. O co chodzi? „Fenomenalne odkrycie". Praca etyczna. Popychadło w biurze. Podział pracy w rodzinie. O powrót kobiety do rodziny. Czyn obywatelski i szczęście osobiste.

Czasopisma kobiece i artykuły, omawiające sprawy kobiece, zaczęły ostatnio gwałtownie bić na alarm. Groźne chmury klęsk i kataklizmów zbierają się podobno na horyzoncie świata. Panowie reformatorzy i działacze społeczni powinni baczną uwagę zwrócić na to, by wyzuta z posady i „pozbawiona poczucia obywatelskiego" kobieta nie cofnęła „rozwoju kultury o dwa wieki wstecz", a spadając do „roli niewolnicy", nie pociągnęła za sobą w przepaść „kultury ogólnej i etyki społecznej". Lepiej już zrezygnować w obliczu takiej katastrofy z „męskich ambicyj" i wziąć się do pracy „domowej", niż brać na swoje barki odpowiedzialność za zrujnowanie kultury.

Ale na cóż te wszystkie alarmy, te jeremiady na temat odbierania kobietom prawa do pracy?, i o co chodzi? Tak, o co tu właściwie chodzi?

Może nie wszystkim czytelniczkom i czytelnikom wiadomo, że istnieje w Polsce grupa kobiet, która dokonała fenomenalnego „odkrycia", naprawdę fenomenalnego i nowego jak na wiek 20-ty. Treść tego odkrycia brzmi mniejwięcej następująco:

> „Kobieta posiada taki sam instynkt pracy, taką samą jej potrzebę i takie samo do niej prawo jak mężczyzna. Kobieta nie może być pasorzytem, hodowanym przez inną jednostkę. Obowiązkiem jej jest praca. Niema żadnego uzasadnienia na to, żeby kobieta w domu spędzała czas bezczynnie."

Zgoda! Sądzę, że nawet już Adam, skazany na pracę po wypędzeniu z raju, nie byłby innego zdania, choć z drugiej strony wątpię, czy ten sam Adam i jego potomkowie — ludzie wszystkich wieków i krajów — uważaliby za słuszne, że tylko człowiek, który ma posadę, pracuje twórczo, że tylko praca zarobkowa ma wartość etyczną. Każda praca, mojem zdaniem, podjęta dla godziwego celu i spełniona sumiennie i z ochotą, nawet zdegradowana przez grupę wspomnianych pań do roli kopciuszka praca domowa kobiety, ma swój urok i niezaprzeczoną wartość etyczną.

Zajęcia domowe kobiety, zaniedbane w wielu wypadkach z powodu jej zajęć zawodowych, oddane na łaskę i niełaskę losu, w najlepszym razie pod wyłączną opiekę służącej, dokonują często swego sucholniczego żywota na zgliszczach domowego ogniska, a ta która mogłaby być panią i królową we własnym domu, zaprzedawszy się w niewolę pracy zawodowej, jest często tylko popychadłem w biurze.

Niewątpliwie, że w wielu wypadkach praca zawodowa kobiet jest tylko smutną koniecznością, wywołaną obecnym kryzysem gospodarczym; dopomaga ona często do załatania dziur w budżecie domowym, w którym co chwilę coś się psuje, coś się rwie z powodu redukcyj i obniżek pensyj ojców i mężów. Niewątpliwie też nikt nie myśli o tem, by odebrać kobiecie prawo do pracy wogóle. Niemniej jednak przyznać trzeba, że fakt zarobkowania tak dużego procentu kobiet może istnieć tylko w takim okresie depresji, jaki jest obecnie. Może to być tylko czemś przejściowem, bo powołaniem ogółu kobiet nie jest przecież praca zawodowa. Jeżeli w rodzinie kobieta i mężczyzna będą starali się o dobra materjalne, zajęci będą zarobkowaniem, to któż zajmie się wychowaniem młodego pokolenia, kto będzie się troszczył o duchowe i moralne oblicze rodziny? Kto będzie pielęgnował kulturę narodową, której oparciem jest rodzina.

Hasło powrotu kobiety do rodziny nie jest tylko hasłem „stereotypowem" teoretyzujących reformatorów społecznych. O powrocie kobiety do rodziny mówią ludzie, którzy głębiej i dalej sięgają w przyszłość. Zresztą życie samo hasło to zaczyna wysuwać na plan pierwszy i zaczyna domagać się realizacji jego nietylko ze względów ekonomicznych.

Dzisiejszy demoralizujący materjalizm, jaki opanował świat cały, wciągnął w orbitę swego zgubnego działania i kobietę, zwłaszcza kobietę zarobkującą, a z nią zakradł się do rodziny, podcinając więź duchowej i bezinteresownej łączności. Rodzina zmaterjalizowana, nie mająca silniejszych podstaw moralnych, rozprzęga się — a z jej upadkiem grozi upadek narodowi. Powrót kobiety do rodziny może zapobiec temu upadkowi i rozprzężeniu. Rąk do pracy w opuszczonym przez kobietę zawodzie napewno nie zabraknie. Zwiększy się natomiast popyt na pracę ludzką, co wpłynąć może na podniesienie płac i podniesienie stopy życiowej, a w związku z tem zwiększona konsumpcja może przyczynić się do ożywienia produkcji.

Pracy zaś dla kobiet w domu również nie zabraknie. Zbyt dużo bowiem w rodzinach naszych jest zaniedbań i niedociągnięć, by kobieta miała czas na „znalezienie się w próżni".

Kółko rodzinne nie jest bynajmniej dla ogółu kobiet za szczupłym terenem działania (o jednostkach w tym wypadku nie mówię) zważywszy, że do zajęć domowych kobiety zalicza się nietylko troskę o kuchnię i śpiżarnię — choć i to jest sprawą ważną ze względu na zdrowie rodziny — ale przedewszystkiem troskę o wychowanie dzieci i o stworzenie z każdej rodziny choćby tylko konsumenta narodowej kultury, jeśli już nie pewnego ośrodka twórczego tej kultury.

Tego rodzaju praca w rodzinie nie może w kobiecie zagłuszyć poczucia obywatelskiego. Przeciwnie, praca ta będzie największym czynem obywatelskim i narodowym kobiety. Jestem przekonana, że w tej rodzinie, przez nią kierowanej, kobieta będzie czuła się lepiej, niż na jakiejkolwiek posadzie, bo tu w szczęściu swoich najbliższych znajdzie i szczęście osobiste, którego żadna posada bezpośrednio dać jej nie może.

Łucja Czarkowska.

GŁOS AKADEMICKI

1. 2. 1934

NA DZIESIĘCIOLECIE KORPORACJI MASOVIA

Twarzą na północ

W czasach niewoli niektórzy Polacy, dążąc do „urzeczywistnienia" „Polski", nie dawali myślom swoim wybiegać za daleko. Według nich zachodnie połacie ojczyzny naszej zniemczone i systematycznie dławione żelazną pruską ręką były dla polskości stracone: nikt o Wrocławiu nie myślał, o Prusach Wschodnich, jako ziemi Polsce należnej, ludzie zapomnieli. Co więcej, byli tacy, co nawet „braci poznaniaków wykreślali ze swego rachunku" i Śląsk za całkowicie przepadły uważali.

Dopiero ruch narodowy z Popławskim na czele dał polityce polskiej kierunek na zachód, wpoił we wszystkich i przekonał społeczeństwo nasze, że tu na zachodnich ziemiach Polski leży przyszła jej potęga, a ciągła i bezkompromisowa walka z Niemcami tej potęgi jest najgłówniejszym fundamentem.

Interesuje nas tutaj kwestja Prus Wschodnich. Roman Dmowski w roku 1917 w swych „zagadnieniach środkowo i wschodnio-europejskich", mówiąc o zachodnich granicach odbudowującego się państwa polskiego pisze:

„Jedyne istotnie trudne zagadnienie przedstawia odosobniona grupa niemiecka nad Bałtykiem pomiędzy ujściami Wisły i Niemna. Ta wyspa niemiecka otoczona od północy przez morze Bałtyckie, od zachodu i południa przez obszar narodowy polski, od wschodu zaś przez obszar litewski, byłaby w razie pozostania w rękach niemieckich stałą groźbą dla pokoju. Nieuniknioną jej rolą byłaby rola niemieckiej placówki wy-



Starożytny kościół wiejski na Warmji

suniętej przeciw Polsce i bazy działań niemieckich, skierowanych ku jej zniszczeniu"...

„Północna część Prus Wschodnich, ta niemiecka placówka założona przez Zakon Krzyżacki w obcym kraju, musi wobec swego odosobnienia od Niemiec być związana w przyszłości z państwem polskiem. Może ona być albo autonomiczną prowincją tego państwa, albo oddzielną małą respubliką, związaną z Polską unją celną, co jedynie może zapewnić jej pomyślność ekonomiczną."

Wraże, ciemne siły — masonerja i międzynarodowe żydostwo — nie dozwoliły wcielić w czyn wszystkich planów wielkiego twórcy zjednoczenia Polski.

Dużo już pisano w swoim czasie o plebiscycie wschodnio-pruskim. Minęło już od niego trzynaście lat, dość długi okres czasu od chwili, kiedy polskość w Prusach Wschodnich klęskę poniosła dotkliwą. Na klęskę złożyło się wiele przyczyn.

Kiedy do Prus Wschodnich, podzielonych na dwa okręgi plebiscytowe (w Olsztynie i w Kwidzyniu) zjechała międzysojusznicza komisja plebiscytowa i zajęła miejsce prezesa rządowego, wtedy Niemcy mieli jeszcze cały kraj w swych rękach. Cała administracja, policja i wszyscy inni urzędnicy rekrutowali się z szowistycznie nastrojonych Niemców, którzy poczęli terorem naklaniać ludność do głosowania za Vaterlandem.

A ludność polska na terenie plebiscytowym, to przeważnie potulni ludzie ze wsi, robotnicy rolni i przemysłowi, którym brak było przewodników, bo miejscowej inteligencji polskiej było bardzo mało. Długowiekowa pozatem niewola, przedewszystkiem na Mazurach, gdzie od czasów usadowienia się Krzyżaków hulała buta niemiecka, zrobiła swoje; pokazała, że Niemiec umie się mścić, nauczyła, że władzy pruskiej bezwzględnie trzeba słuchać i zgermanizowała wielu, wielu Polaków.

W czasie plebiscytowym Niemcy wykorzystali wszystkie dostępne dla siebie moce. Bajeczne sumy łożyli na agitację, na dokonywanie aktów bestjalskiego terroru, aby tylko zastraszony naród przeciągnąć na swoją stronę. Pozatem rozporządzenie, dozwalające brać udział w plebiscycie ludziom, pochodzącym z terenu plebiscytowego, chociaż tam już nie mieszkającym, Niemcy wykorzystali w swoisty sposób. Z głębi Niemiec na koszt państwa sprowadzono do Prus Wschodnich 128 tysięcy (sto dwadzieścia osiem tysięcy) stuprocentowych Niemców, urodzonych rzekomo na plebiscytowych terenach.

Polska toczyła ówcześnie wojnę z Bolszewją, o niewiadomem jeszcze zakończeniu, co również podziałało w odpowiedni sposób na umysły ludu. I przyszedł dzień 11 lipca 1920 roku — dzień plebiscytowy.

W całych Prusach Wschodnich oddano głosów 475 925 z których na stronę polską padło 15 871, na stronę niemiecką 460 051. Niemcy triumfowali. Nam, Polakom przypadły jedynie trzy wioski przygraniczne z terenu plebiscytowego olsztyńskiego i pięć wiosek na prawym brzegu Wisły, naprzeciw Gniewu. Tak samo 9 wiosek w głębi Prus Wschodnich opowiedziało się za Polską, których jednakże przyłączyć do nas nie było można z powodu odległości od granicy.

Zdawałoby się, że to ostatecznie przekreśliło sprawę polską w Prusach Wschod-



Jezioro Dłużek na Warmji

nich. W otumanionych zahukanych włościańskich masach polskich zaczyna się jednak budzić poczucie narodowe, a istnienie i rozwój wolnego państwa polskiego odpowiedni także wywiera wpływ. Niekorzystny wynik plebiscytu wszystkiego nie zakończył. Mamy do Prus Wschodnich prawa, wypływające z polskości ludu tamtejszego, ale mamy i obowiązki.

Polska wogóle to zagadnienie tak dla niej żywotne zaniedbywała od wieków. Spaczenie myśli wschodniej ekspanji polskiej i postawienie na tę kartę wszystkiej energji państwa zlikwidowało z kretesem nasze poczynania na zachodzie. W rezultacie nietylko że nie włączyliśmy do Polski pruskiego pobrzeża, nietylko, że zapomnieliśmy zupełnie o Śląsku, ale odepchnięci od Bałtyku pozwoliliśmy rozróść się tam złowrogiej dla nas potędze teutońskiej.

Nieustanne najazdy Prusaków skłoniły Konrada, księcia mazowieckiego, do przywołania krzyżaków, by bronili jego kraju przed napastniczymi poganami i równocześnie nawracali ich na wiarę chrześcijańską. Wyznaczył im na siedzibę ziemię Chełmińską, dokąd przybyli w r. 1225. W nieustannem pławieniu się we krwi pogańskiej i zabieraniu coraz szerszych ziem zakon zatracił swój pierwotny charakter i stał się hordą najeżdzczą, której nietyle chodziło o szerzenie wiary chrześcijańskiej, ile o rozszerzenie swego państwa zaborem ziem zarówno pogańskich jak i chrześcijańskich.

W kraju, zdobytym krwią i żelazem, Zakon zapominając o swem głównem przeznaczeniu, tracił swój duchowny charakter, a stawał się militarną hordą zaborczą i łupieżczą bezżeńców samowolnych i swawolnych. Na tem podłożu wyrósł i rozwinął się Związek Jaszczurczy, który w oparciu się o Polskę stawał w obronie praw uciskanego ludu.

Poprzez sławny Grunwald w r. 1410 i poprzez trzynastoletnią wojnę za Kazimierza Jagiellończyka Polacy zmusili krzyżowych rycerzy do zawarcia toruńskiego pokoju 19 października 1461 r. Zakon utrzymał się przy władzy państwowej, lecz obszar jego państwa ogromnie się uszczuplił. Groźny Malborg wraz z Elblągiem przyłączono z pruskiej Pomazanji do Polski jako województwo malborskie. Przyłączono także biskupstwo pomazańskie, znane później pod nazwą Warmji. W. mistrz przeniósł swą siedzibę do Królewca.

W roku 1525 nastąpiła sekularyzacja Prus, a z mistrza zakonu protestant Albrecht Hohenzollern złożył królowi polskiemu przysięgę wierności.

W r. 1701 elektor brandenburski koronował się w Królewcu na króla pruskiego. Polityka polska poprzez dzieje pozwalała na rozrost potęgi niemieckiej pod bokiem Polski, pozwoliła, by na Polsce należnych ziemiach wyrosło królestwo, które później pierwsze wystąpiło z myślą rozbioru Rzeczypospolitej. Z niewoli powstały naród polski nie może zapomnieć o wyspie niemieckiej w Prusach Wschodnich, które muszą kiedyś do Polski należeć.

Skromne zadanie na tym odcinku narodowej pracy pełni korporacja studentów U. P. Masowia, zajmując się specjalnie terytorjum plebiscytowem przed 13 laty t. j. Warmją, Mazurami i Powiślem i przypomina rzeszom młodej inteligencji na U. P., że to ziemie odwiecznie polskie, wobec których mamy prawa . . . ale i obowiązki.

Bogdan Maciejewski.

Gimnazjum polskie w Olsztynie.

Przed kilku laty Polacy na Warmji i Mazurach rzucili myśl wybudowania polskiego gimnazjum w Olsztynie, co było dla tamtejszych Polaków rzeczą nader ważną i z punktu widzenia narodowego pożyteczną. Wywołało to oczywiście furjacki atak prasy niemieckiej, upatrującej w tem nawet... aż zdradę stanu.

Korporacja Masovia przy U. P. organizuje dla tego gimnazjum bibljotekę szkolną. Ma już znaczny zasób poważnych książek. Każdy może korporacji przyjść z pomocą, wysyłając pod jej adresem (Poznań, ul. Masztalarska 8 a III p.) wartościowe polskie książki, czem się zarazem przysłuży polskości w Prusach Wschodnich.

PRO PATRIA ET MASOVIA

Zajścia krakowskie w listopadzie 1923 r., zakończone śmiercią ułanów polskich, żywem echem odbiły się w całym narodzie. Niepokój o dobro państwa opanował tych wszystkich, co czuli się Polakami i zmusił do myślenia nad przeciwdziałaniem zarazie ze Wschodu. Młodzież uniwersytecka w trosce o Polskę zawiązała w tym czasie w Poznaniu Akademicki Komitet Obrony, mający na celu walkę z szerzącym się komunizmem. Szybkie zlikwidowanie przez państwo organizacyj komunistycznyc i usunięcie niebezpieczeństwa, odebrało jednocześnie cel młodej organizacji. Młodzież, zgrupowawszy się z pobudek patrjotycznych, postanowiła stworzyć inną organizację, również o celach nacjonalistycznych, by nie zrywać więzów przyjaźni, które zdążyły się już zadzierżgnąć i by nadal, choć w innej formie, pracować dla dobra narodu i państwa.

Ze zlikwidowanego Akademickiego Komitetu Obrony powstały korporacje Masovia i Legia w lutym 1924 r. Wkrótce skonkretyzował się cel korp. Mazovia i wyraził w dewizie: „Pro Patria et Masovia". Rozpoczęto pracę dla ojczyzny, Mazur i Warmji — dla Polaków w Prusach Wschodnich.

Złe rozwiązanie kwestji pruskiej poprzez całe wieki ujemnie odbijało się na rozwoju państwa polskiego, aż wreszcie Prusy stały się jednym z grabarzy Polski; po wojnie światowej plebiscyt, odbywający się podczas wojny bolszewickiej, nie przyniósł wyników dodatnich. W zrozumieniu ważności kwestji pruskiej, w zrozumieniu niebezpieczeństwa grożącego ze strony wysuniętej placówki zaborczej niemczyzny, korporanci Masovi postanowili w miarę swych skromnych sił pracować nad naprawieniem błędów dawnej polityki i pomyślnem rozwiązaniem dla Polski zagadnienia pruskiego. Drogę do tego celu wybrano dwojaką: przez kontakt z rodakami na obczyźnie i przez wychowywanie zastępu ludzi, zdolnych do kontynuowania rozpoczętej pracy.

Nakreślony plan przez dziesięć lat istnienia korporacji w miarę możności był zealizowany. 6 000 zebranych wśród społeczeństwa książek wysłano na Mazowsze i rozdzielono do bibljoteki gimnazjum w Olsztynie i bibljotek polskich szkół po miasteczkach i wsiach. Praca korporacji, prowadzona przez rodowitych Mazurów, spowodowała to, że społeczeństwo polskie nie zapomina o kwestji pruskiej, a rodacy na obczyźnie dowiedzieli się, że o nich pamiętamy. Dowodem skuteczności naszej akcji są listy, jakie otrzymujemy od Polaków z Prus i Rzeszy, wyrażające chęć bliższego współżycia z nami i mówiące o szykanach i prześladowaniach, stosowanych przez Niemców względem rodziców, posyłających dzieci do szkół polskich.

Sprowadzanie ludzi, kończących szkoły w Prusach i udzielanie im pomocy do ukończenia studjów w Polsce pod warunkiem, że wrócą i jako pionierzy polskości krzewić będą ducha polskiego — oto nasz zakres działania na najbliższe lata. Aby zakreślony plan dał dodatnie wyniki korporacja Masovia zwraca szczególną uwagę na wychowanie swych członków, by zapewnić idei dobrych wykonawców. Nowoprzyjęty członek korporacji Masovi, po przebyciu okresu giermkowania, przy egzaminie rycerskim musi wykazać oprócz znajomości spraw, wymaganych w każdej korporacji, jeszcze szczególną znajomość zagadnienia Prus Wschodnich i wykazać się pracą w tym kierunku.

* * *

Poważne konwenty i ceotusy i wesołe komersze i zabawy są swego rodzaju odpoczynkiem po pracy naukowej na wykładach i ćwiczeniach i jednocześnie przez częste obcowanie zbliżają ludzi do siebie. Wzajemne poznawanie swych wad i zalet, ścieranie poglądów, wypowiadanie się w kwestjach naukowych, społecznych i ekonomicznych w swobodnej koleżeńskiej dyspucie, wytwarzają atmosferę braterstwa, a członkowie zżywają się i przywiązują do organizacji. Przez posłuszeństwo giermka, przez poczucie solidarności organizacyjnej rycerza, przez wzajemne zżycie się, korporacja dąży do wyrobienia inteligentnych i karnych obywateli, umiejących pracować dla narodu.

Oprócz pracy na Mazurach i wewnątrz organizacja korp. Masovia żywo interesuje się terenem akademickim. Jako korporacja związkowa, braliśmy czynny udział w zjazdach i pracach Związku Polskich Korporacyj Akademickich i Poznańskiego Koła Międzykorporacyjnego. Zasiadanie szeregu Mazowiaków w zarządach Bratniej Pomocy, kół naukowych i regjonalnych, przysporzyło nam popularności i znaczenia na terenie poznańskim.

Zawarty kartel z korp. Rosevią z Gdańska i współpraca z organizacjami, które działają na terenach sąsiadujących z Prusami, czyni pracę pozytywniejszą, daje pełniejsze wyniki i wewnętrzne zadowolenie, że w miarę swych skromnych możliwości, staramy się być dobrymi synami Polski. Nadzieje nasze ziszczą się całkowicie, gdy, może już w krótkim czasie, znajdziemy się razem w jednym z pułków wojsk polskich, maszerujących na Gdańsk i Prusy, by rozwiązać kwestję, której nasi pradziadowie nie rozwiązali i Najjaśniejszej Rzeczypospolitej zapewnić pokój.

Zygmunt Witkowski,
Prezes korp. Masovia.

Adres Redakcji: Poznań, św. Marcin 40. Konto P. K. O. **201413.** Adres Administracji: Poznań, św. Marcin 40.
PRZEDPŁATA (wraz z przesyłką) rocznie **6** zł, półrocznie **3** zł.
CENY OGŁOSZEŃ: cała strona — 240 zł, 1/2 strony — 130 zł, 1/3 strony — 90 zł, 1/4 strony — 70 zł, 1/8 strony — 40 zł, 1/10 strony — 30 zł.

Rękopisy nieczytelne, bez podpisu i adresu autora nie będą uwzględniane. Przedstawiciel Redakcji w Warszawie: Jan Bajkowski. Rękopisów się nie zwraca.
Redaktor naczelny i wydawca: Jan Wyganowski, Poznań. Kierownik adm. i redaktor odpow.: Stanisław Sieciechowicz, Poznań.

Czcionkami Drukarni Katolickiej Sp. Akc. w Poznaniu, Raczyńskich 13/14.

„Twórcy nowej rzeczywistości“

„DYWERSYJNE“ ZAINTERESOWANIA.

Od dłuższego już czasu nieliczna grupka „sanacyjnej“ „Myśli Mocarstwowej“, tej organizacji, którą niedawno omal nie sprzedał z licytacji p. Rowmund Pilsudski za niecałe 1 000 zł p. Bartlowi, w iście faryzeuszowsko-konserwatywny sposób ujada na wielce dla młodzieży akademickiej zasłużonego i znanego wielkopolanina p. prof. dziekana Pawła Gantkowskiego, kuratora Domu Akademickiego i Bratniej Pomocy U. P.

O co chodzi?

O to mianowcie, że akurat p. dziekan, jako kurator zajmuje 6 pokoi w Domu Akademickim.

Nie mogą ci panowie zrozumieć, że kuratorstwo domu ustalił Wojewódzki Komitet dla Spraw Pomocy Młodzieży Akad., który jest dotąd jego właścicielem, i że tenże komitet pod żadnym warunkiem nie godzi się na opłacanie komornego przez kuratora, bez względu na to, czy jest nim p. dziekan prof. Gantkowski, czy też gdy będzie kto inny. Nie chcą wiedzieć „mocarstwowcy“, że obecny kurator tylko pod presją usilnych próśb Komitetu przyjął kuratorstwo i związane z niem „przywileje“. I trzeba być pozbawionym conajmniej taktu, żeby w tak wulgarny sposób poruszać sprawę, której się nie zna i której regulacja należy wyłącznie do dobrze zasłużonego dla młodzieży akademickiej Komitetu Wojewódzkiego. Także grubą nieprzyzwoitością jest komentowanie sprostowania, nadesłanego w tej sprawie przez Magnificencję, na którego tak często ci panowie powołują się.

Trzeba tu z przyjemnością podkreślić, że w tej delikatnej natury sprawie druga część młodzieży prorządowej t. j. Legjon Młodych i Z. P. M. D. zachowują się bardzo poprawnie i z godnością.

Jedynie te 6 pokoi kuratorskich działa „jak czerwona płachta“ na... mocarstwowców.

Skoro już tak jest, że mamy w Poznaniu taki objekcik, na który czerwona płachta działa z wyjątkową siłą, więc przypominamy mu, że daleko korzystniej i moralniej byłoby, żeby się zajął, jako obrońca pokrzywdzonych, ogromnie aktualną sprawą stypendjów akademickich, na które młodzież czeka bezskutecznie blisko pół roku!

Ale o tem oni ani mru, mru, bo w tym wypadku p. wo...da gotówby jeszcze nie zapłacić za druk pisemka.

A dalej należałoby zająć się sprawą domów akademickich t. zw. fundacji im. prez. Narutowicza oraz pensjami i przywilejami jej dyrektorów i kuratorów.

Ale o tem milczą... I to są „obrońcy“ niezamożnej młodzieży akademickiej! Zbyt jednak krótkowzroczna była i jest konserwa akademicka, żeby mogła zrozumieć, iż młodzież akademickie umie odróżnić plewy od ziarna.

Umie ona ocenić i odczuć tę ich perfidję i fałsz, zreszłą ona wie dobrze, że ci „gorliwi obrońcy“, to przeważnie synowie i „współideowcy“ przeróżnych „Lewiatanów“ i reprezentantów obcego kapitału w Polsce.

CZEKAMY NA CZYNY.

Ci sami „mocarstwowcy“ rozdzierają szaty nad tem, że zarząd Br. Pomocy wynajął lokal „Głosowi“ w domu przy św. Marcinie 40, podczas gdy ubodzy studenci „gnieżdżą się na poddaszach“.

Zaznaczyć tu należy, że lokal ten ze względu na to, że jest w domu akademiczek nie może być zamieszkiwany przez studentów, a następnie wogóle na mieszkanie nie nadaje się, wobec czego zarząd, jako administrator, wynajął go „Głosowi“ poprostu z braku innego reflektanta. Jeżeli jednak już tak bardzo chodzi o mieszkania dla niezamożnej młodzieży, to radzimy mocarstwowcom zredukować swoje aż nazbyt liczne pokoje przy Wałach Leszczyńskiego 2 i ofiarować je własnym, niezamożnym członkom. Będzie to daleko korzystniejsze, niż częste dancingi, które bynajmniej nie świadczą o niezamożności. Exempla trahunt — mości panowie!

TEŻ „PROLETARJUSZE“.

Pan J. F. nie może jakoś przeboleć, że członkowie zarządu Bratniej Pomocy korzystają ze stypendjów zwrotnych 140 zł miesięcznie. Dla tego „proletarjusza“, który zanim ukończył studja, a już jako prezes „Myśli“ miał zapewnioną posadę w województwie, i który dziś pobiera 250 zł miesięcznie pensji, to rzeczywiście ciężko strawna sprawa. Drugim takim „proletarjuszem“ jest „wysoki dygnitarz“ „Myśli Mocarstwowej“ p. „inspektor“ (dosłownie) Z., który jako „wybitny ideowiec“ pobiera pensję za wypisywanie „różności“ w redagowanem przez się pisemku.

Ci dwaj — to „elita“ „tworząca nową rzeczywistość“ — to fundament „mocarstwowców“!

Byłoby jednak wielką niesprawiedliwością nie doliczyć do tego grona pocztu sztandarowego i komitetu redakcyjnego w jednej osobie oraz wreszcie wysokich protektorów baronów i hrabiów — też „proletarjuszy“.

J. Rus

XIV. DOROCZNY BAL „BRATNIEJ POMOCY“ T. S. S. U. P.

odbędzie się dnia 1 lutego 1934 roku w Auli Uniwersytetu Poznańskiego i przyległych salach.

Bilety wstępu przystosowane są do ogólnego kryzysu, a mianowicie: bilet wstępu zł 5,—, bilet akademicki zł 4,—, bilet dla członków „Bratniej Pomocy“ T. S. S. U. P. zł 2,—. Na miejscu bardzo tanie bufety obficie zaopatrzone w wszelkie artykuły sztuki destylacyjnej i kulinarnej.

Lista zaproszeń już wyłożona w Sekretarjacie Generalnym „Bratniej Pomocy“ T. S. S. U. P., Poznań, św. Marcin 40, I. p.